Cena 40 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ODNOWA

TYGODNIK

29 Listopad 1936 r. Niedziela Nr. 14.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Traugutta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6.97-99.

Sztuczne barykady

Przed kilku miesiącami w Nowosielicach polski ruch ludowy złożył wyznanie wiary politycznej na chwilę obecną i z wyrazistością największą ujawnił całokształt swych postulatów politycznych. Od tego czasu inne ugrupowania polityczne przy każdej nadarzającej się sposobności formułowały swe poglądy, a opinja Polski z najżywszą sympatją i zrozumieniem odniosła się do prób wytyczenia realnego i ewolucyjnego programu. Można powiedzieć, że cała świadoma opinja bez dłuższych debat i bez żadnych kołowań wyraziła gotowość przyłączenia się do reformatorskiego programu wielkich skupień społecznych, wiedząc, że w obecnym okresie jasne i zdecydowane pójście za naczelnemi ogólnie przyjętemi hasłami stanowi nakaz chwili i nikt od solidarności z tym ogólnym porywem uchylać się nie powinien.

Równocześnie społeczeństwo czynnie i ochotnie zadokumentowało swą wolę jak największego poparcia programu obronności państwa. I ufundowano szereg samolotów, dziesiątki i setki karabinów maszynowych, górnicy dali swe nadgodziny, robotnicy w wielu okręgach nie pozostali w tyle. I gdyby zarejestrować te wszystkie akty ofiarności gromadnej, powstałaby bardzo długa lista, obejmująca grupy i nazwiska wzdłuż całej drabiny społecznej. Każdy objektywny obserwator potwierdzi, że ta aktywność społeczeństwa przedarła się po przez niepomyślną i trudną dla wszelkiej samodzielnej akcji atmosferę, że byłaby inna, a w każdym razie bardziej intensywna, gdyby była samodzielna.

A na szpaltach wszelkiego typu ciągłe głosy o ubóstwie i szarzyźnie w publicznem życiu Polski. Powstała z tych utyskiwań cała literatura, a nawet cudzoziemcy poczynają uważać to zjawisko za specyfikum polskie i utrzymują, że Polska ugoruje nawet wtedy, gdy gdzieindziej w podobnych warunkach pojawia się bujna roślinność „ideologiczna". Powszechnie znane są źródła tego fatalnego stanu rzeczy i musimy nazywać tę sprawę po imieniu, wbrew jakimkolwiek łagodzącym tendencjom. Nie było i niema w Polsce ugorowania myśli politycznej, ani anemji programów, ani niechęci formułowania stanowisk politycznych. Niema tylko technicznej możliwości po temu. Chłopi, inteligencja i znakomita większość robotników zdecydowanie, konkretnie i wytrwale stoją na gruncie zasady silnego państwa opartego o własną rację stanu. Ale nieodłącznym elementem tej racji stanu jest postulat, aby słońce wolności politycznej świeciło nad Polską dla wszystkich jednakowo. Oględny sposób wyrażania się, którym posługujemy się w tym wypadku, w niczem nie powinien zaciemniać faktu, że wiemy, co znaczy wolność polityczna i jakie stąd prawa i obowiązki wynikają. I każde pokolenie, które chce zostawić ślad po sobie, musi z całą siłą przekonania walczyć o systematyczne urzeczywistnienie tej zasady. Wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi naprawa ustroju politycznego, musi się mówić ogólnikami. Bez winy naszej i bez odpowiedzialności olbrzymiej części społeczeństwa weszły u nas na porządek dzienny sprawy ustrojowe i długo będą jeszcze zaprzątać naszą uwagę.

Gdy więc z jednej strony, gdy tylko można i jak tylko można, głosimy jasny wspólny program reformy ustroju i kooperacji wszystkich sił społecznych, jako lekarstwo na odczuwaną także i wśród niektórych rządowców szarzyznę ideową, skąinąd zapowiada się akcję, poczętą w głębokiej tajemnicy przed swymi i obcymi, jakąś akcję jednostek czy jednostki, polegającą poprostu na konspiracji obywatela przeciw obywatelowi, na próbie nowego podziału rodaków. Więc jeszcze niedość doświadczeń i niedość trudności wewnętrznych, ale jak feniks z popiołów ma powstać gdzieś organizacja uprzywilejowanych i ma uzyskać monopol na działalność polityczno-społeczną? A reszta społeczeństwa ma zostać po drugiej stronie barykady, jako bezwolna masa? Więc te dłonie wyciągnięte do państwa w chwili poważnej i wysiłku wymagającej, ta gotowość czynna i czujna ma pozostać tylko świadectwem służby niewolniczej?

W Polsce powojennej, szczególnie w ostatniem dziesięcioleciu, było zawsze więcej gotowości do posłuchu, niż przygotowania do dawania rozkazów. Uczynić jednak z tej zalety niezwykłej jedyny materjał budulcowy jest zarówno niebezpiecznym, jak sprzecznym z interesem narodu zamiarem. Leżą w Polsce wielkie pokłady energji społecznej i istnieją zasoby myśli politycznej Nie poruszą ich ludzie mali i nieprzygotowani.

Raptularz tygodniowy

(DZIWNA USTAWA — ZWIERZENIA VICEMINISTRA — ŚMIERĆ SALENGRO).

Ustawa szkolna, przeforsowana w sejmie brzeskim przez p. Jędrzejewicza, znosząc autonomję szkół wyższych, miała wznowić dyscyplinę i zapewnić spokój na uniwersytetach, niezbędny dla normalnego toku pracy naukowej. Ustawa weszła w życie i co się okazuje? Czasy autonomji wspominać wkrótce będziemy jako okres błogostanu poprostu. Nigdy jeszcze nie szalała tak młodzież, pomimo tej wrzekomo surowej a więc dla opanowania uniwersytetów „niezbędnej" ustawy. Autorytet senatów akademickich został poderwany, profesorów przemianowano na urzędników, mianowanych za zgodą referenta personalnego w Ministerstwie Oświecenia, a stosunki na uniwersytetach zmieniły się całkowicie: drzwiami i oknami weszła polityka i to w wydaniu najradykalniejszem. Oto przykład klasyczny eksperymentu, z którego skutków nie zdawał sobie sprawy nikt z sanacji, a przedewszystkiem jej nieudolni autorowie.

Na razie jedna tylko część ustawy się udała: usunięto profesorów, których zwalczali kierownicy ówczesnego B. B. i wydziały bezpieczeństwa w poszczególnych województwach. Ale cena, jaką zapłacono za tę przyjemność, wydaje się w perspektywie kilku lat od wydania ustawy dosyć zastanawiającą...

Jeśli już o usuniętych uczonych mowa — przypomina się nam uroczysty akt nadania uniwersytetowi Jagiellońskiemu orderu „Polonia Restituta" i wręczenia odznak także rodzinom zmarłych koryfeuszów wiedzy, wykładających na wszechnicy jagiellońskiej. Piękny akt pietyzmu... Ale — pozwólcie panowie — czy to wszystko? Więc zmarłym ordery a żyjącym dymisja? Przecież zniesiono katedry, zajmowane przez najwybitniejszych w swoim fachu uczonych, znanych w europejskim świecie naukowym. Ustępują oni zmarłym mistrzom wiekiem i latami pracy, ale nie ustępują zapałem do pracy i kwalifikacjami. Ten minister z nieprawdziwego zdarzenia, który bronił swego czasu ustawy szkolnej w sejmie brzeskim, nie próbował nawet szukać pozoru argumentów. Mówił tak: to, że opozycja broni (usuniętych), dowodzi, jak bardzo jej na nich zależy (!!).

Akt hołdu dla Alma Mater Jagiellonica szczęśliwie zainicjowany przez obu profesorów Świętosławskiego i Ujejskiego nabierze właściwego znaczenia, gdy rząd zgodzi się na restytucję katedr, zwiniętych z powodów politycznych.

* * *

Podpułkownik kawalerji i viceminister gospodarczy p. Tadeusz Lechnicki ustąpił. Przez szereg lat był współodpowiedzialny za politykę rządu, kierując wpierw biurem ekonomicznem Rady Ministrów, a potem departamentem ogólnym w skarbie. Wkrótce po ustąpieniu ogłosił obszerny artykuł, w którym jasno jak na dłoni dowiódł, jak bardzo błędna była przez ostatnie lata gospodarcza polityka rządu. Innemi słowy przekonał się, że mylił się przez cały czas swego urzędowania. Znamy wytłumaczenie tego faktu i pomijamy świadomie wszystkie inne bardziej realne i osobiste motywy: oto uczył się pan pułkownik przez dłuższy czas, nauczył się wreszcie i dzieli się z nami rezultatami swej nauki. Ale system nauczania dyletantów przez nominowanie ich ministrami — jest bardzo kosztowny, szczególnie w Polsce, o której ubóstwie sztucznie wywołanem tak przekonywująco pisze p. Lechnicki.

* * *

Śmierć ministra Salengro była śmiercią francuską w stylu klasycznym. Omotany przez wrogów, w sieci zarzutów, których stwierdzenie a tem bardziej zwalczenie przedstawiało szalone trudności, pracując do ostatnich chwil, pewny przyjaźni swych bliskich a sympatji tysięcy zwolenników, ten minister wielkiego państwa popełnia samobójstwo w kuchence małego mieszkanka na tem samem miejscu, na którem niedawno upadła jego żona w śmiertelnym ataku sercowym. Minister pisze listy pełne dyskretnego patosu do urzędującego premjera, do brata i śmiercią zjednywa mnóstwo ludzi dla siebie. Dodamy, że niedawno parlament francuski debatował nad jego sprawą i potępił nagankę na ministra 427 głosami przeciw 100, podczas gdy zwyczajna większość Frontu Ludowego wynosi 375 głosów. Za ministrem głosowało wielu wybitnych prawicowców, głosował np. Paweł Reynaud i wódz kombatantów Scapini. Są to wybitni przeciwnicy Frontu Ludowego, którzy głosowali za słuszną — ich zdaniem — sprawą, mimo, że chodziło o przeciwnika politycznego. A przeciwnik ten był ścigany wszystkiemi metodami vendetty przez dwóch korsykańczyków, przedewszystkiem: p. Caruchio, redaktora „Gringoire" i jego teścia, b. prefekta policji paryskiej, p. Chiappe'a. O co jednak rzecz idzie? Najwyższe instancje w państwie francuskiem: Rada Ministrów i parlament, oparte o szczegółowy materjał sądowy, ustaliły, że dzisiejszy minister Salengro przed 20 laty na froncie nie popełnił nic zdrożnego. Mimo tego werdyktu prasa atakowała go wszelkiemi sposobami, nie dbając zupełnie o zapadły już i oczywisty wyrok. Rzecz jasna, że mamy tu do czynienia z najjaskrawszym przykładem nadużycia wolności prasy i zdziczenia obyczajów. To, co uważaliśmy niedawno za gwarancję swobód obywatelskich, zmienia się w pretekst do panowania barbarzyństwa. Nie tylko we Francji. Prawie wszędzie zwycięstwo święcą metody, wprowadzone przez bolszewików, którzy natychmiast po zwycięstwie wprowadzili do swych enuncjacyj słownictwo kryminalne. Od tego czasu znaleźli licznych i chętnych naśladowców, choć stojących czasem na innym biegunie politycznym. I u nas istnieją i działają adepci prymitywizmu, którzy nie zdają sobie sprawy, że publicysta czy dziennikarz, który nie argumentuje, ale klnie i wymyśla, jest ciężkim społecznym przestępcą bez względu na obóz, który swą przynależnością zaszczyca. Imienna lista — zastrzeżona.

Tot.

W. NIENASKI.

„Wielki" i „mały" program Niemiec

Przez cały czas istnienia t. zw. Niemiec demokratycznych, bez względu na to, które stronictwa niemieckie były przy władzy, trwała bez przerwy podjazdowa walka z Polską, której celem była rewizja granic. Sprawa Gdańska, „korytarza" (o nieokreślonych bliżej wymiarach, w pojęciu niemieckim obejmujących całe Pomorze a nawet i Poznańskie) i Górnego Śląska nie schodziła ze szpalt prasy i publicystyki niemieckiej i była głównym przedmiotem wysiłków propagandy niemieckiej za granicą. Państwo polskie uchodziło za „Saisonstaat", którego zawalenia się oczekiwano z utęsknieniem w czasie ofensywy bolszewickiej na Warszawę, sympatjami stojąc całkowicie po stronie czerwonego najeźdźcy. I to wcale nie tylko sympatjami stronnictw lewicowych. Jeszcze bodaj bardziej sympatyzowały wówczas z Sowietami stronnictwa niemieckiej prawicy, zapominając o niebezpieczeństwie rozlania się bolszewizmu w całej Europie. Niebezpieczeństwo to stało się dla nich aktualnem dopiero znacznie później, gdy już Niemcy poczuły się na siłach, aby myśleć nie o „małym" programie narodowym, obejmującym powrót do przedwojennych granic, ale o „wielkim" programie podbojów. Pojawienie się tego programu wiąże się już z nazwiskiem Adolfa Hitlera i dojściem do władzy jego stronnictwa.

Pozornie wydać się może rzeczą dziwną, że cel narodowy Niemiec demokratycznych, rewizja granic ustalonych Traktatem Wersalskim, a w pierwszym rzędzie granicy z Polską, nie wszedł do programu najskrajniej nacjonalistycznego stronnictwa niemieckiego, N. S. D. A. P., narodowo - socjalistycznego niemieckiego stronnictwa robotniczego, jak się oficjalnie nazywa partja Adolfa Hitlera. Wprawdzie w okresie wytężonej agitacji, poprzedzającej zdobycie władzy przez to stronnictwo, hasła antypolskie i żądania rewizyjne były przez nie używane i nadużywane. Ale były to hasła demagogiczne, jak wiele innych, z których po dojściu do władzy nic nie pozostało. Już wówczas było wiadomo, że stronnictwo nie przywiązuje do nich specjalnej wagi. W ewangelji nowego ruchu, w książce Hitlera „Mein Kampf", o Polsce niema ani słowa. Jest natomiast bardzo wiele o Rosji i o konieczności zdobycia przez Niemcy „miejsca na wschodzie".

Jest to zupełnie zrozumiałe. Polska dla Adolfa Hitlera była w okresie, gdy pisał swą książkę, czemś jeszcze mniej, niż „Saisonstaat", była quantité négligeable, którą się nawet zajmować nie warto. Dla niego realizacja „małego" programu narodowego, choćby oznaczał on powrót Niemiec do granic przedwojennych, nie jest warta kości jednego niemieckiego grenadjera, bo nie załatwia sprawy egzystencji Niemiec, jako wielkiego mocarstwa, jako samowystarczalnego imperjum. Hitler kreślił tedy plany tego wielkiego imperjum, które zrealizować zamierzał na żyznych polach Ukrainy, sięgając jeszcze dalej, po bogate złoża surowców, aż po Ural. Sprawa drobnych ustrojów państwowych, które Niemcy oddzielają od Rosji, musiałaby się w razie realizacji tego „wielkiego" programu załatwić automatycznie, bądź przez ich zgniecenie i wchłonięcie, bądź wprzężenie ich do swego zwycięskiego rydwanu. Do rzędu tych drobnych ustrojów zaliczał Adolf Hitler i Polskę.

*

Zaraz po objęciu władzy dyktatorskiej w Trzeciej Rzeszy przed Hitlerem stanęło zagadnienie Polski. Wynikło ono ze słusznej inicjatywy polskiej. Desant na Westerplatte był takiem samem zapytaniem z polskiej strony pod adresem Niemiec, jak pytanie postawione w Genewie pod adresem Litwy przez marszałka Piłsudskiego. Pytaniem: pokój czy wojna? I podobnie, jak Waldemaras w Genewie, tak i Adolf Hitler odpowiedział: pokój. Bo wojna ani nie leżała w jego możliwościach w tej chwili, ani w jego planach, całkowicie nastawionych na realizację etapami „wielkiego" programu. I podobnie, jak w stosunku do Litwy, zadowoliła się Polska i w stosunku do Niemiec tą odpowiedzią. Ani w stosunku do Niemiec, ani w stosunku do Litwy nie wynikły z tego żadne konsekwencje. W szczególności nie uzyskała wówczas dyplomacja polska od Niemiec ani uznania dobrowolnego granic państwa polskiego, ani statutu Wolnego Miasta, choć zdaje się, że było to wówczas osiągalne.

Dopiero znacznie później, kiedy już i władza socjalistów ugruntowała się w Niemczech i siły Niemiec znacznie wzrosły, rozpoczęły się rozmowy polsko - niemieckie. Doprowadziły one do dwustronnego paktu o nieagresji na lat dziesięć. Uznania granic w pakcie tym nie uzyskano. Natomiast trzeba było za pakt ten zapłacić wysoką cenę w formie rozluźnienia się sojuszu polsko - francuskiego i faktycznego wejścia w orbitę polityki niemieckiej.

Niewątpliwie jednak pakt polsko - niemiecki i jego polityczne następstwa leżały w zakresie „wielkiego" programu politycznego Niemiec. W tym programie jest miejsce na przyjaźń Niemiec z Polską. Można krytykować z polskiej strony krótkowzroczność tej polityki. Niepodobna zaprzeczyć, że ma ona jednak pewne realne podstawy.

*

W tym okresie sielanki polsko - niemieckiej

(Dok. na str. 3-ej).

Kronika Zagraniczna

GDAŃSK.

Według wiadomości prasy zagranicznej z połowy lipca b. r. mieliśmy się wówczas godzić na następujące rozwiązanie sprawy gdańskiej:

1) Poczta oraz port miałyby być poddane całkowicie kontroli polskiej;

2) Policja polska byłaby dopuszczona w Wolnem Mieście;

3) Rząd polski otrzymałby prawo veta przy wyborze Prezydenta Gdańska;

4) Polska posiadałaby prawo kontroli nad gdańskim bankiem emisyjnym;

5) Greiser miałby być usunięty — a w zamian za to wszystko komisarz Ligi Narodów p. Lester otrzymałby urlop bezterminowy.

Warunki te, ogłoszone m. in. przez „Temps" paryski, zawróciły w głowie niejednemu z naszych mocarstwowców. Ludzie rozsądni wiedzieli już wtedy, że stwarzały one pozory sukcesu przy faktycznej przegranej z naszej strony, gdy o prawach suwerennych Polski w Wolnem Mieście mowa. Chodziło również o usunięcie państw trzecich i Ligi Narodów ze spraw polsko - gdańskich. Gdy się to stało dzięki naszej niczem niewytłumaczalnej i nie dającej się usprawiedliwić, polityce gdańskiej, — wówczas skończyło się na usunięciu p. Lestera.

Jakże daleko jesteśmy dzisiaj od formułowania tego rodzaju warunków — a jak blizko nowych brzemiennych w następstwa, niezgodne z naszym honorem i najistotniejszemi interesami Rzeczypospolitej komplikacyj przy ujściu Wisły!

Jak twierdzą „poinformowani", referat gdański miałby być w niedługim czasie wyłączony z Min. Spraw Zagranicznych i przeniesiony do Prezydium Rady Ministrów. Miałoby to rzekomo być równoznaczne z podkreśleniem wyjątkowego znaczenia objętych nim spraw. Tem więcej, że kierownik działu gdańskiego otrzymałby równocześnie stopień podsekretarza stanu. Nas jednak nie zmyliłyby te pozory. Gdyby doszło do tego rodzaju zmiany, widzielibyśmy w niej przedewszystkiem chęć zdjęcia odpowiedzialności kierownictwa spraw zagranicznych Polski za zawiniony przezeń stan rzeczy w Gdańsku.

*

Podobnoć następcą p. Pepée'go w Gdańsku ma być mianowany oficer służby czynnej. Czyżby wojsko chciało naprawiać to, co zepsuła dyplomacja? Metoda taka nie zawsze i nie wszędzie jest celowa.

ORGANIZOWANA PRZEZ KOMUNISTÓW KATALONJA A CHŁOPI.

Im dłużej trwa wojna w Hiszpanji, tem silniejszem staje się stanowisko komunistów w obozie rządowym. Zwykłą losów koleją biorą oni zawsze górę w takich wypadkach nad radykałami i socjalistami. Że zaś tak jest na półwyspie Iberyjskim, zaświadcza o tem tak niepodejrzany o stronniczość w tym względzie świadek — jakim jest pani Zofja Kramsztyk. Donosi ona z Barcelony co następuje:

„Może dla tych, którzy są daleko, nie stało się jeszcze jasnem, że Katalonja od 3 mies. przeszło organizuje się i jest pomimo wojny domowej dzisiaj już bardzo mocno zorganizowaną, a jeżeli mówię Katalonja, myślę cały proletarjat Barcelony, Leridy, Gerony, Tarragony i wielu *innych miast, myślę* o ludności wiejskiej, *która pracuje już kolektywnie* i myślę o tych drobnych właścicielach wiejskich, którym *pozwolone jest zachować ich skrawek* ziemi, i myślę o inteligencji, artystach, pisarzach i innych, którzy stanęli na gruncie antyfaszystowskim a zwolna syndykalizując się, są dzisiaj zrównani z proletarjatem fabryk, jako *robotnicy pióra, pędzla i t. d.*".
(„Dziennik Popularny Nr. 37").

A więc w Katalonji istnieją już kołchozy. Jedynie tym chłopom, którzy uprawiają „skrawki ziemi" — pozwalano na razie zachować ich własność. Na ogół chłopów Katalońskich nakłada się nowe jarzmo po zgruchotaniu starego, oddając ich w niewolę biurokracji komunistycznej. Biedni ci chłopi — którym wszędzie i zawsze prawią przedtem komuniści o „radach robotniczo-włościańskich"!

NEUTRALNOŚĆ POLSKI WOBEC WYDARZEŃ HISZPAŃSKICH.

Wobec nieszczęsnej wojny domowej, jaka się toczy w Hiszpanji, obowiązywać nas powinna neutralność. Dyktuje ją nam zarówno rozum, jak i dobrze zrozumiany interes narodowy. Pierwszy mówi nam, że optowanie jak najgwałtowniejsze nawet na rzecz jednej ze stron walczących nie pomogłoby jej w niczem. Drugi nie ma nic wspólnego z podziałem definitywnym Europy na dwa, zwalczające się na śmierć i życie bloki, faszystowsko - hitlerowski i komunistyczno - bolszewicki. A do tego podziału dojść może w następstwie wojny hiszpańskiej. W razie podobnej ewolucji stosunków europejskich — Polska musiałaby wybierać pomiędzy Niemcami i Rosją. Powinniśmy więc współdziałać szczerze z tymi, którzy nie chcą dopuścić do rozwinięcia się kryzysu wewnętrzno - hiszpańskiego w kryzys międzynarodowy. Uznanie zaś rządu generała Franco przez Trzecią Rzeszę i Włochy za rząd legalny i zapowiedź blokady Barcelony z jednej strony, a natomiast aktywność rosyjskich Sowietów w Hiszpanji z drugiej — zmierzają wyraźnie w tym kierunku.

„Wielki" i „mały" program Niemiec

(Dok. ze str. 2-ej).

zaszły dość nagle dwa fakty, które nie mieszczą się w ramach „wielkiego" programu hitlerowskiego, lecz wskazują na powrót Niemiec do programu „małego", który jest zasadniczo antypolski. Jednym z tych faktów jest sprawa Gdańska, której rozwój świadczy o tendencjach aneksyjnych Niemiec w stosunku do Wolnego Miasta. Drugim jest kategorycznie wrogie ustosunkowanie się Niemiec do myśli rozszerzenia jakichkolwiek planów zbiorowego bezpieczeństwa na wschód Europy, nie tylko na Rosję sowiecką, ale także na Polskę.

Oba te fakty stawiają Polskę wobec sytuacji nowej i bardzo niebezpiecznej. Przy czynnej pomocy lub przynajmniej bierności dyplomacji polskiej Niemcy zdołały wzmocnić ogromnie swe siły oraz swoją pozycję w Europie. Dzięki, między innemi, pomocy polskiej, zdołały prześlizgnąć się przez niebezpieczną dla nich rafę paktu północno - wschodniego. Przy zupełnej bierności dyplomacji polskiej nastąpiło dozbrojenie Niemiec i wojskowe zajęcie Nadrenji. Dziś, po osiągnięciu porozumienia z Włochami, rokują o pakt zachodni nie tylko na stopie zupełnej równości, ale nawet przy pewnej przewadze. Jeśli nawet, dzięki stanowisku Anglji i Francji, będą zmuszone zmodyfikować nieco swoje stanowisko w sprawie bezpieczeństwa na wschodzie Europy, to nie ulega już żadnej wątpliwości, że uzyskają przynajmniej dogodne warunki dla t. zw. pokojowej rewizji traktatów Zaofiarował im to oficjalnie min. Eden w swej ostatniej mowie. A ta rewizja posiada niewątpliwie ostrze antypolskie. Ułatwia znakomicie realizację „małego" programu niemieckiego.

*

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Niemcy wracają do tego programu. Jest to zupełnie zrozumiałe. Cztery lata pobytu u władzy nauczyły nowych władców Niemiec realizmu politycznego. Zwłaszcza, że nie brakło im dobrych preceptorów. Pozostała Reichswehra, sceptycznie od początku usposobiona do „wielkich" planów Hitlera, przenosząca zgodę z Rosją i realizację „małego" programu nad niepewne losy krucjaty na wschód. Pozostała Wilhelmstrasse, dyplomacja niemiecka, w której po objęciu władzy przez Hitlera nic się nie zmieniło, gdyż Hitler pozostawił nienaruszone jej kadry, swoich pułkowników od polityki zagranicznej umieszczając w nieszkodliwym wydziale zagranicznym — swojej partji, lecz nie dopuszczając ich do Auswärtiges Amtu. Pozostały sfery gospodarcze, których rzecznikiem jest dr. Schacht. Pod tak dobrą opieką musiał kanclerz trzeciej Rzeszy dojść do przekonania, że brak jest tymczasem danych dla realizacji „wielkich" planów. Ani stan wewnętrzny Niemiec, ani stan gospodarczy, ani nawet, wobec braku surowców, stan uzbrojenia nie sprzyjają ich realizacji. Niema też warunków zewnętrzno - politycznych, które sam dokładnie określił w „Mein Kampf". W szczególności nie można liczyć na życzliwą pomoc, lub co najmniej neutralność Anglji.

Natomiast warunki układają się dla Niemiec najpomyślniej dla realizacji programu „małego". Czyżby więc było rzeczą dziwną, gdyby do niego wróciły?

*

Obok programu „małego", który nie został zarzucony, ale którego realizację odkłada się ad feliciora tempora, program „mały" zaczyna i w Trzeciej Rzeszy, jak ongiś w Niemczech demokratycznych, odgrywać wielką rolę. A powrót do tego programu musi spowodować zmianę w stosunkach niemiecko - polskich. I powoduje już nawrót polityki polskiej do dawnych kanonów.

Dla realizacji „małego" programu sprawa „nowego Locarna" odgrywa wielką rolę. Niemcy Hitlera próbują uzyskać to, co nie zupełnie udało się Stresemanowi w dawnem Locarno. Próbują uzyskać zupełne oddzielenie spraw wschodu Europy od bezpieczeństwa na zachodzie. A przedewszystkiem uzyskać desinteressement Anglji i obalić automatyczność pomocy francuskiej w razie napaści na jej wschodnich sojuszników. To jest bardzo przejrzystym celem niemieckich not w tej sprawie.

Rozgrywka o „nowe Locarno" nie jest dla Polski tylko sprawą prestiżową, tylko sprawą jej mocarstwowego stanowiska. Jest ona w ogromnym stopniu sprawą całości jej granic, sprawą Gdańska, „korytarza", Górnego Śląska. Powrót Niemiec do „małego" programu musi spowodować odpowiednie konsekwencje dla polityki polskiej. Zrozumiały się staje powrót do Paryża i zabiegi w Londynie. Ale ze zmiany tej wyniknąć muszą i dalsze konsekwencje. Są one natury bardzo rozmaitej, politycznej, wojskowej, gospodarczej. I nie na końcu także personalnej.

ANDRZEJ PRZEŁĘCKI.

Nad granicą Śląska

(Korespondencja własna).

W kurzawie dymów, pyle kopalnianych hałd, w jęku maszyn i tłuczeniu młotów jest jeden ton, który ponad tem wszystkiem góruje, każe myśleć poważnie, zastanawiać się, słuchać...

Kiedy się jedzie przez ulice Śląska, boć cały Śląsk to właściwie jedno, wielkie miasto, bolesną plamą uderzają w oczy mniejsze i większe grupki młodych mężczyzn, stojące bezczynnie, apatyczne, zmęczone...

Jest dzień roboczy, kominy dymią, zgrzytają koła dźwigów, huczą hutnicze piece... Skądże więc te bezczynne grupki?

Jest jedna, straszna choroba, która toczy lud Górnego Śląska, na imię jej BEZROBOCIE!

Ci wszyscy młodzi ludzie wystający po rogach ulic, mostach i placach miasteczek, to ci, przed którymi bramy warsztatów pracy są beznadziejnie zamknięte.

Mówi się o tem wiele... Turnusy, Inspekcje pracy, problemy, strejki...

A młodzi ludzie ciągle stoją, czekają... Na co?

Odwrotna strona medalu.

Każde zjawisko społeczne, każdy, nierozwiązany problem gospodarczy ma swoje pochodne, ma swoje różne konsekwencje.

Jeden z młodych inżynierów śląskich, wprawdzie pochodzący z Kongresówki, ale mimo to poprostu fanatycznie zakochany w Śląsku, pokazał mi w rozmowie taką właśnie pochodną problemu bezrobocia:

— Niech pan nie sądzi — rzekł — że bezrobocie groźne jest tylko dla robotnika, który głoduje. I nie tylko dla Państwa, które skutkiem, z bezrobocia wynikających trudności gospodarczo - politycznych ponosi poważne straty. To bezrobocie niesłychanie groźne jest także dla samego przemysłu.

Skutkiem zastoju w produkcji przemysł musiał, siłą faktu, ograniczyć ilość zatrudnionych robotników. Pracy było coraz mniej, a rąk do pracy nie ubywa. Trzeba więc było znaleźć modus vivendi taki, aby obdzielić pracą przedewszystkiem tych, co są na warsztatach zatrudnieni stale, którzy do tej pracy mają największe prawo.

I wymyślono turnus. Co pewien czas robotnik idzie na urlop przymusowy, aby swego miejsca ustąpić innemu, także spragnionemu pracy.

Robotników nowych, tego corocznego narybku, do warsztatów pracy obecnie nie przyjmuje się wcale. Co najwyżej, jeżeli nasilenie produkcji wzrasta — odsyła się mniej ludzi na turnus.

W normalnych warunkach, na warsztatach pracy zatrudnieni są, jako wykwalifikowani robotnicy, ludzie w wieku 25 — 60 lat; do lat 14 chodzą do szkół, od lat 14 do 25 jest czas na odbycie terminu i wyzwoliny czeladnicze.

Ale na to wszystko potrzebna jest praktyka.

W obecnych warunkach praktykantów nie przyjmuje się wcale.

Skutki takiego stanu rzeczy nie każą długo na siebie czekać. Za kilkanaście lat nie będzie kogo postawić do warsztatów pracy. Już w najbliższem pięcioleciu, jeżeli sytuacja nie zmieni się radykalnie, brak wykwalifikowanego robotnika może grozić choćby tylko częściowem unieruchomieniem przemysłu śląskiego.

Nie chciałbym dożyć tego chaosu w produkcji, który się wtedy wyrodzić może.

A jednocześnie... Ten wspaniały śląski lud, który własną krwią zadokumentował, mimo politycznych kombinacyj pana Calondera, że jest, był i będzie polski — niszczeje. Żre go nędza i głód, nieodstępni towarzysze bezrobocia.

Przemyt.

Ale życie nie czeka. Jeść trzeba, dzieci nakarmić i do szkoły posłać też trzeba.

Jak straszny jest głód na Górnym Śląsku, niech świadczy fakt, że gdy w Lipinach skutkiem usuwania się ziemi nad szybem kopalni zarysował się kościół ewangelicki i rozpoczęto roboty ziemne dla zabezpieczenia budowli, rozeszła się pogłoska, że węgiel znajduje się tuż pod powierzchnią. W ciągu jednej doby, na tej „odkrywce" o powierzchni kilkuset metrów kwadratowych zjawiło się 500 bezrobotnych usiłujących wydobywać węgiel, którego nie było.

Wszystkie, albo prawie wszystkie sposoby uczciwego zarobkowania wyczerpano. Cóż więc pozostaje? Sposoby nieuczciwe, więc w pierwszym rzędzie przemyt.

Są takie miasta na Górnym Śląsku, jak naprzykład Piekary, gdzie na 18 tysięcy mieszkańców 16 tysięcy żyje z przemytu.

W Lipinach, na jednym tylko odcinku granicznym, w czasie sankcyj antiwłoskich, przytrzymano w ciągu miesiąca 11.000 kilogramów cytryn pochodzących z przemytu, a „zieloną granicę" przekracza dziennie przeszło 500 przemytników.

A przecież lud ten chce i może uczciwie pracować i nie chce żyć z występku.

A po drugiej stronie...

Przeszedłem wzdłuż cały, duży odcinek granicy polsko - niemieckiej na Górnym Śląsku od strony Bytomia. Patrzyłem i nie wierzyłem oczom.

Cały Bytom od strony polskiej otoczony jest wieńcem czystych, schludnych domków jednorodzinnych, pomalowanych na kolor brunatny. Domki te zbudował Hitler dla bezrobotnych tego okręgu.

Rzecz prosta, że nazwa bezrobotny jest tu tylko bardzo zręcznym pozorem. Domek taki może otrzymać tylko stuprocentowy hitlerowiec - członek S. A.

Jest to połączenie *utile cum dulci*, bo niech mi kto co chce mówi, domki te nie są tylko zwykłemi domkami. Zbyt dobrze pamiętam początek wojny europejskiej i zajęcie Belgii przez wojska niemieckie, żebym zapomniał o klozetach stawianych na betonowych podstawach, aby były skuteczną podstawą dla armat.

A jednocześnie proszę zrozumieć szalony wprost moment propagandowy. Przecież na te domki, tak hojnie rozdawane bezrobotnym, patrzy śląski lud, wprawdzie twardy i mocny, ale głodny, bezrobotny i bezdomny. Patrzy i zazdrości, bo musi zazdrościć...

Widziałem także i inne rzeczy. Widziałem hałdę (góra kopalnianych odpadków), która, fotografowana z odległości pół kilometra, nie mieści się w wizjerze aparatu fotograficznego. Pomimo całej potęgi przemysłu niemieckiego, ta hałda wydaje mi się zbyt wielką...

Tuż koło stacji Szarlej - Piekary, ponad torami kolejowemi, które idą dołem, jest most na drodze. Most ten musiał ulec rozbiórce, bo ziemia się obsunęła skutkiem podkopania się kopalni pod tory.

Podkopała się kopalnia niemiecka. Zapewne także nie bez celu.

Obóz dla dezerterów.

Ale największem już bodaj dziwowiskiem pogranicznem jest w rejonie Piekar położony niemiecki Obóz Pracy.

Obóz ten leży w odległości nie więcej niż pół kilometra od granicy, a przeznaczony jest wyłącznie dla *dezerterów z Polski.*

Obywatel polski - niemiec, który albo z wojska uciekł, albo zdołał zwiać przed wcieleniem go do armii, tu właśnie znajduje dla siebie przytułek, otwarte ramiona, górne hasła...

Podobno obóz jest pełny.

A przecież Arbeiter Abteilungen są niczem innem, jak tylko odmianą Sturm Abteilungen i przedstawiają równe dla sąsiadów niebezpieczeństwo.

I to w dodatku dezerterzy z Polski. Takie niemieckie janczary.

Że nasz zachodni sąsiad ma wybitny apetyt na Górny Śląsk, dziwić się temu nie można. Przecież ta ziemia to jedno wielkie bogactwo naturalne i przemysłowe.

Że nasz wspaniały śląski lud na lep niemieckiej propagandy nie pójdzie i bronić tej ziemi będzie do ostatniej kropli krwi, tego można być pewnym.

Ale z niebezpieczeństwa trzeba sobie dokładnie zdawać sprawę. Trzeba wiedzieć, że po tamtej stronie szczerzą się wiecznie głodne kły.

Zresztą, czyż kiedykolwiek ukrywali się ze swoim apetytem? A ponieważ paktu o nieagresji propagandowej nie zatwierdzali, przeto wystarczy przejechać się wzdłuż granicy, porównywać, dumać i pisać.

Chociaż częściowo...

Z 7 dni

Prasa donosi, że wsławiona P. A. L. wyjeżdża do Katowic, gdzie odbędzie się posiedzenie publiczne. Od tego trzeba było zacząć kilka lat temu. Każdy roztropny dyrektor trupy drugorzędnej, aczkolwiek pracującej dla sztuki, rozpoczyna karjerę na prowincji. Z biegiem czasu doświadczenie rośnie, śmieszności odpadają i, oczywiście, nie cały zespół, lecz jednostki wybijają się i otwierają sobie drogę do stolicy. P. A. L. przekonała się dotkliwie, jakie skutki pociąga za sobą debiut odrazu w Warszawie, albo gościnne występy w Paryżu. Nie jesteśmy pewni, czy dla Katowic wystarcza dyrekcja p. Sieroszewskiego i reżyserja p. Kadena. Może należałoby zacząć skromniej i taniej np. od Siedlec. W każdym razie należało zwiększyć atrakcyjność występu przez zaangażowanie protektora i założyciela — p. J. Jędrzejewicza. Komplet widzów byłby zapewniony.

(Dok. na str. 5-ej).

Przypomnienia...

Przedstuletnie historje hiszpańskie.

Lata 1834, 1835...

Wojują „karliści“ i „Cristinos“ (vel „Isabelinos“). A właściwie wojują dwa systemy: absolutystyczny i liberalny. Za absolutystycznym Rosja, Austrja i Prusy. Zerwały z legalnym rządem regentki Krystyny. Popierają karlistów. Za liberalnym Anglja i Francja. Popierają rząd legalny, chociaż ani — wydatnie, ani skutecznie. Na arenie hiszpańskiej zmagają się dwa obozy, na które podzieliła się Europa. Tymczasem Hiszpanie wyrzynają się z właściwym im zapałem. Aż ambasador brytyjski, lord Elliot, występuje z pośrednictwem w imię ludzkości. Doprowadził jakoś do układu między dowódcami stron obu, poręczającego życie jeńców, dotąd mordowanych okrutnie.

Po stu latach podobne próby doprowadzenia do podobnego układu, spełzną na niczem, potraktowane przez obie strony z wyniosłą pogardą.

Niezawodnie, pogardą tą wyraziło się doświadczenie narodu, wyspecjalizowanego w sprawach wojny domowej. Albowiem już w 1836 r. nowy wódz karlistów, Ramon Cabrera, znowu „nadał walce charakter srogi przez okrucieństwa, popełniane na jeńcach, co pociągnęło za sobą krwawe represje ze strony *Isabelinos*, a w szczególności rozstrzelanie matki Cabrery, co on znowu straszliwie pomścił“.

Historja straszliwie aktualna.

Zaczęło się od klasztorów...

W czerwcu 1835 ustąpił rząd umiarkowanie liberalny Martineza de La Rosa („Martinez różany“, jak tłumaczy Słowacki).

„Skrajni radykali (odpisujemy z *Cambridge Modern History)* zacietrzewieni w ideach antyklerykalnych i lękający się potęgi niezmiernie licznych mnichów i mniszek — 31.000 mnichów i 22.000 mniszek wedle spisu z 1835 — oburzeni poparciem danem karlistom przez zakony i ich poglądami absolutystycznemi, pragnęli poprostu je zniszczyć. Agitacja w tym kierunku, z oskarżeniem, częstem w historji epidemij, że cholera, która nawiedziła Madryt, była z zatrucia studzien przez mnichów, doprowadziły w lipcu 1834 do rozruchów; kupy pospólstwa napadały na klasztory i wymordowały wielu zakonników. Rząd nie umiał przeszkodzić tym aktom barbarzyństwa, raz jeszcze wykazując swoją słabość i chwiejność. Wiosną 1835 i po upadku Martineza de La Rosa mordy powtórzyły się w innych miastach, nie poskromione pierwszemi zarządzeniami nowego ministerjum, które raz jeszcze wypędziło Jezuitów i zamknęło wszystkie klasztory, liczące poniżej 12 mnichów.

Nie wiemy, czy ówcześni mężowie stanu hiszpańscy głosili już tę samą opinję, co prezydent Zamora po stu latach: że całej licznej armji francuskiej nie starczyłoby do obrony hiszpańskich klasztorów. To pewna, że jak on, nie mieli ani armji francuskiej, ani ochoty do obrony klasztorów przed napadami. Dzieci wdowy, przejęte nakazem zemsty za Hirama, budowniczego świątyni, nie dziwią się i nie gorszą, gdy płoną świątynie i giną ich słudzy.

Ale „ruch ten, który zaczął się gwałtami przeciw mnichom, rychło stał się powstaniem przeciw rządowi, którego umiarkowanie nie przypadało do gustu...“

Umiarkowanie było, jak z poprzedniego wynika, wcale umiarkowanem. Otwarto drogę przerostowi rewolucyjnemu (1836). Wolę ludu dyktowali już Hiszpanji — dwaj sierżanci. Azana nazywał się wtedy Calatravą.

Kończyło się na generałach...

Tak kroczyła Hiszpanja drogą „postępu“ ku demokracji integralnej. Nowy rząd, przed stu laty zamanifestował swą postępowość nie gorzej niż dzisiejszy: „zajął się konfiskatą majątków karlistów i wszelkich przeciwników liberalizmu“. Pozatem zastosował masowy pobór do wojska i pożyczkę przymusową. Wojna z karlistami toczyła się dalej, z srogością coraz dzikszą. Po stronie „progresistów“ bili się ochotnicy z różnych narodów („Hasłem do boju wolność i lud“), a były wśród nich oddziały polskich tułaczy — jak zjawią się znowu po stuleciu. Zwolna brali górę generałowie „postępowi“. Wreszcie jeden z nich, Espartero, broniący zagrożonego przez karlistów Madrytu, stanął na czele rządu (1837), przegnał rywala, generała Narvaeza (1838), opierającego się na „moderados“, złamał przy poparciu powstań i rokoszów lokalnych opozycję regentki, zmusił ją do abdykacji. Po trzech latach dyktator, opuszczony przez wojska, musiał uciekać przed rywalem, Narvaezem, z którym powracało do steru „umiarkowanie“. I koło dziejów Hiszpanji toczyło się dalej.

Który z ówczesnych wodzów Hiszpanji („uszablonych, grubych Narvaezów“ Słowackiego) nazywa się dziś Franco, a który Mola (obaj też „postępowej“ prowenjencji i „dzieci Wdowy“) to już rzecz mniejszej wagi.

Nauka z Hiszpanji...

O wartości dydaktycznej wydarzeń hiszpańskich, pisał przed stu laty stary Metternich: „Hiszpanja zdaje się przeznaczoną przez opatrzność na najokrutniejsze próby, by zarazem być wielką nauką światu. Nauki te będą szczególniej ciężkie dla tych, którzy (tu pije się do państw liberalnych Zachodu) rozdmuchali i podsycali ogień w kraju, gdzie tyle palnego materjału leży obok innych materjałów, z natury zdaje się przeznaczonych, by ogniowi się oprzeć...“

Jakby „zachowawcze mocarstwa“, których polityki Metternich był rzecznikiem, ze swej strony nie podsycały i wspierały powstania karlistów.

„Nauka dla świata“. Widzimy dziś, jak umiał skorzystać z niej „świat“, jak korzysta Hiszpanja z doświadczeń własnych.

Toczące się koło historji...

Nie bez smutnej zadumy patrzy się historyk, na toczące się w Hiszpanji koło historji. Mistrzyni życia... Cóż z jej przestróg i wskazań. Nad doświadczeniami jej i naukami, przewala się wezbrany strumień instynktów i namiętności ludzkich, a znosząc tamy, rozniesione przez myśl i przez zmysł samozachowawczy społeczeństw, tryumfalnie odtwarza sobie stare koryto, rwie ziemię w szaleńczem upojeniu i niesie radośnie zagładę.

*

W osiemnastą rocznicę.

Osiemnaście lat mija od epopei lwowskiej. Miasto kresowe, które tylokrotnie było przedmurzem Rzeczypospolitej i karty swej historji znaczyło złotemi głoskami największych ofiar pro patria, musiało — u wstępu odrodzonej ojczyzny — przebyć jeszcze jedną, może najkrwawszą, próbę. Wytrzymało ją, choć polała się obficie krew dzieci - bohaterów, choć dni i tygodnie upływały bez cienia nadziei. Zwyciężył polski Alcazar.

Nie znalazło się jeszcze wielkie pióro, któreby lwowskie boje zaklęło — jak na to zasługują — w nowoczesną Iljadę. Ale potężny epizod zapału i miłości ojczyzny powiał szerokiem tchnieniem przez twórczość współczesną, wywołując w niej obrazy o najwyższem napięciu uczuć.

Przytoczymy tu, z okazji rocznicy lwowskiej, cudzoziemca. Franck L. Schoell pisał w swoim czasie w „L'Europe Centrale“ o powieści I. Pannenkowej p. t. „Więzy“, jako o dziele „kobiety wielkiego serca“, której inne więzy, nie te, które nadały tytuł powieści, ale te, które ją łączą ze Lwowem, „nadają specjalną wartość tej książce, która jest przedewszystkiem dziełem wiary, podziwu i miłości“.

Cudzoziemiec przypomina genezę sprawy:

„Pierwszego listopada 1918 r., na kilka tygodni przed końcem wojny na zachodnim froncie, mieszkańcy Lwowa, budząc się, zobaczyli wszędzie patrole ukraińskie i ukraińskie sztandary: to władze polityczne i wojskowe austrjackie wydały tym nowym panom klucze arsenałów i prawa suwerenności.

Cała polska ludność powstała. Tajne organizacje polityczne zgrupowały się pod komendą płk. Czesława Mączyńskiego. Stworzono wnet pierwsze wysepki oporu. Wkrótce odzyskano połowę śródmieścia dzięki bohaterstwu mieszkańców, „y compris“ — podkreśla Schoell—kobiet i czternastoletnich uczniaków...

Ten to epizod, ściśle autentycznie podejmuje w ostatniej części swej powieści Irena Pannenkowa“.

Z 7 dni

(Dok. ze str. 4-ej).

*

Zaburzenia studenckie w Wilnie, a obecnie w Warszawie mają przebieg ostry, demonstracyjny, nieustępliwy. Wykłady zawieszono. Studenci wysuwają żądania amnestyjne, ekonomiczne i antyżydowskie. Ponownie wyrazimy pogląd, że ferment nie powstał z lekceważenia postulatów, lecz postulaty powstały z lekceważenia fermentu ogólnego.

*

Na podstawie nowego rozporządzenia w Niemczech członkowie partji rządzącej — hitlerowcy winni śledzić ogół mieszkańców. Dostanie tedy każdy prawomyślny 40 rodzin pod opiekę, musi założyć kartoteki i zapisywać wszystko usłyszane, zauważone, podsłuchane w telefonach, skopjowane na poczcie i t. d.

Nieszczęśliwy naród! Jakże cenną jest wtedy swoboda w innych krajach, gdzie niema szpiegostwa, kartotek...

*

Podobno znowu zasiądzie sejm.

ADAM ROMER.

Historia magistra vitae

Niedawno ukazały się w „Odnowie" pod nagłówkiem „Z dawnych dobrych czasów" wyjątki z klasycznej pracy Alberta Vandel'a o konsulacie Bonapartego, dowodzące starej prawdy, że niema nic nowego pod słońcem, i że wszystko się powtarza. Mamy obecnie przed sobą poszczególne rozdziały z kapitalnego dzieła wielkiego historyka i pisarza Louis Madelin'a o Napoleonie, będącego w opracowaniu. Rozdziały wybrane ukazują się od pewnego czasu w znanym dwutygodniku „Revue des deux mondes". Ostatnio ogłoszone tam ustępy, poświęcone „wspinaniu się wzwyż Bonapartego" (l'ascension de Bonaparte), zawierają uwagi bardzo podobne do tych, jakie znajdujemy w pracy Vandel'a. Doświadczony autor, patrząc okiem współczesnego obserwatora na panujący dziś chaos polityczny i światopoglądów w Europie, niewątpliwie w myśli wciąż porównywał ówczesne czasy z obecnemi. To też i współczesny polityk śmiało może brakujące mu doświadczenie własne uzupełniać faktami i wypływającemi z nich wnioskami, zaczerpniętemi z dzieła znakomitego autora francuskiego. Jest ono prawdziwą krynicą głębokiej wiedzy obywatelskiej i dziejowej, udostępnionej czytelnikowi prześlicznym stylem, którego może mu pozazdrościć najlepszy twórca porywających powieści.

Gdy nie dało się przedłużyć żywota „Konwencji", chodziło jej przywódcom o zachowanie za wszelką cenę władzy w ręku per fas et nefas, o niedopuszczenie do uczciwych wolnych wyborów, o „unieszkodliwienie" opinji publicznej. Ich myślą przewodnią było utrzymanie regime'u, uniknięcie zemsty ludu za grzechy rewolucji, zapewnienie trwałości tłustych posad i tworzenie fikcji przedstawicielstwa narodowego dla zamydlenia oczu krajowi i zagranicy. Podpory regime'u stały się, jak mówił lud, „nową szlachtą, dziesięciokrotnie bardziej mu nienawistną od dawnej". Hulanki, trwonienie grosza publicznego, bezkarność przestępstw ludzi usytuowanych charakteryzowały owe rządy ludzi, zasłużonych dla rewolucji".

Na skutek ordynacji wyborczej, wymyślonej przez Konwencję dla zapewnienia większości „podporom rewolucji", nowe „rady ustawodawcze" tylko w jednej trzeciej składały się z prawdziwych przedstawicieli opinji publicznej. Względem kandydatów, naznaczonych przez Konwencję, wyborcy bądź wstrzymywali się od głosowania, bądź, gdzie mieli do wyboru kilku, głosowali na najumiarkowańszych z pośród rewolucjonistów. Oparty o taką „większość" rząd odtąd był jedynie kliką, kurczowo trzymającą się władzy wbrew woli narodu i wskutek tego niezdolną do wykonywania misji... wyznaczonej, jak się zdawało, nowemu rządowi: odrodzenia moralnie i materjalnie kraju przez pogodzenie obywateli.

Jako „rząd walki", jak przyznał sam Barras, był on skazanym — wręcz przeciwnie — na pogłębienie jeszcze „linji podziału" pomiędzy Francuzami... zaabsorbowany walką ze stronnictwami, które wszystkie, niezwłocznie, przeszły przeciw niemu do ataku, musiał on nieszczęsny kraj coraz bardziej pozostawiać smutnemu losowi staczania się ku przepaści. Zmuszony równocześnie bić prawicę..., starając się o swój odwet, oraz lewicę..., dążącą do narzucenia się ze swej strony, rząd taki pozostać musiał niestałym i zmuszonym do gnębienia wrogów z prawej i lewej strony, skłaniał ich wszystkich do szukania „mściciela".

Zdaniem Madelin rządy kliki, w jakie zwyrodniała pozbawiona wszelkich hamulców demokracja, sprzyja tęsknocie za jednoosobowym zbawcą", zdolnym do stania się „odnowicielem". Po kilku miesiącach takiego regime'u, okazało się, że prawica „powalona poniesioną klęską", znakomicie miała skorzystać z walki, jaką wydała rządowi lewica, „sprzymierzona z owymi komunistami pierwotnymi, organizowanymi przez trybuna Gracchusa Bebeuf'a. Represje rządowe, stosowane w tej walce, „dokończyły dzieła uczynienia tych ludzi nieprzejednanymi wrogami, kiedy równocześnie rojaliści, korzystając z niepopularności rządu, podnosili głowy i przygotowywali, urabiając kraj, grunt pod następne wybory". Powodzenie demagogów skrajnych było głównie skutkiem faktu; że „zbytek bezczelny, jakim otaczali się nowi władcy, zanadto kontrastował z nędzą ludu, by nędza ta nie demoralizowała ducha i serca". Mnóstwo oportunistów i reakcjonistów w otoczeniu rządowców oburzało starych rewolucjonistów. „Sześć miesięcy po dojściu do władzy nowego rządu opinja publiczna widziała jasno, że nie będzie on trwał długo", że albo dojdzie do przywrócenia ancien regime'u, albo do „konwulsji, muszących doprowadzić do wyłonienia się owego „nieznanego", którego niektórzy już poszukiwali. Wszyscy jednak byliby bardzo zdumieni, gdyby im wówczas ktoś powiedział, że tym nieznanym jest pewien mały generał...".

I w wojsku nie było lepiej. Na najwyższe stanowiska wyznaczono generałów politykujących, zasłużonych nie tyle na froncie, ile na tyłach, generałów „wojny domowej". Najlepsi dowódcy byli systematycznie pomijani, usuwani, lekceważeni. Większość ich potem przylgnęła do Napoleona, jak do zbawcy, bo on dopiero przywrócił pierwszeństwo fachowców i zasługi osobistej. Straciła jednak Francja w tym okresie w sile wieku takich dowódców jak Moreau, który marnie zginął na emigracji, jak Pichegru, którego udusił „niewyśledzony sprawca", jak Hoche, który nie mieczem lecz sercem zdobył Wandeję.

Ironja losu chciała, że ten sam Napoleon, który w r. 1800 rozpędzeniem nieudolnego i nie odzwierciadlającego oponji publicznej parlamentu ocalił Francję i zapewnił jej 14 lat niezrównanej potęgi i chwały, opartych o praworządność, o dyktaturę, uzasadnioną powszechnem, słusznem zaufaniem, — w 1815 r. kapitulować musiał przed wrogami z powodu „zdrady" parlamentu. Dało to asumpt Mussoliniemu do głośnego jego dramatu „Sto dni", którego myślą przewodnią jest wykazanie, że demokracja parl. powoduje załamywanie się społeczeństw w obliczu katastrofy. Jest to twierdzenie bardzo względne. Już republikańska Roma wiedziała, że ciężkie czasy wymagają władzy dyktatorskiej, lecz tylko drogą wyjątku. W 1815 r. załamał się — na skutek bitwy pod Waterloo — sam Napoleon. Była to właśnie chwila taka, kiedy nie wolno decyzji zostawić — na łaskę głosowania. Zrozumiał to doskonale w 1918 r. Clemenceau, szczery demokrata i republikanin, który nie zawahał się rządzić jak prawdziwy dyktator i tem nie tylko ocalił Francję, lecz i zapewnił jej świetne zwycięstwo. To też i słusznie generał Władysław Sikorski w swojej ostatniej książce o wojnie przyszłości podkreśla konieczność wyposażenia rządu na okres wojenny w takie pełnomocnictwa konstytucyjne, któreby zapewniły mu możność autoratywnego rządzenia w chwilach, wymagających zawieszenia plenarnych obrad parlamentarnych. Rzecz jasna, że w każdym wypadku autorytatywne rządzenie wymaga zaufania narodowego, oparcia o opinię publiczną.

Wielka rewolucja francuska, wprowadzając na miejsce monarchji absolutnej — demokrację, wpadła bardzo prędko w zasadniczy błąd, który na długo zaciąży na wszystkich prawie dotychczasowych rządach demokratycznych kontynentu europejskiego. Zamiast podziału władz demokracji klasycznej nad rządzącą, ustawodawczo - kontrolną i sądową, wprowadziła — dyktaturę parlamentu. Prowadzić to musi zawsze do rządów kliki czy klik. Tylko nawrót do owego podziału władz zapewnić może „powrotnej fali" demokracji obecnie powodzenie w społeczeństwie z nowoczesnem jedynowładztwem.

Świat pracy

WALKA O ZASIŁKI.

Już nie o zarobki w niektórych gałęziach przemysłu państwowego walczą robotnicy, ale o zasiłki. Akcję taką podjęli robotnicy farbyk tytoniowych i spirytusowych, domagając się po 100 złotych na niezbędne zakupy zimowe, których z normalnych zarobków nie są w stanie zaspokoić. Ma to być jednorazowa bezzwrotna danina państwowa na rzecz robotników. Dla poparcia swych żądań w fabrykach tej branży w Warszawie, Krakowie, Radomiu, Łodzi, Oświęcimiu, Starogrodzie, Lwowie i Winnikach wybuchł półgodzinny strajk demonstracyjny.

SĄ I TAKIE FABRYKI.

Licząc się z trudnemi warunkami bytu robotników, dyrekcja fabryki „Elektryczność" w Ząbkowicach zdecydowała przyjść im na zimę z pomocą. W wyniku pertraktacyj z delegatami robotników dyrekcja tej fabryki podwyższyła zarobki o 5% i umorzyła pożyczki, udzielone na zakup ziemniaków na zimę. Ale to nie jest przedsiębiorstwo państwowe.

NIEZWYKŁY POWÓD DO STRAJKU.

W Łodzi oprócz wielkich zrzeszonych zakładów przemysłu włókienniczego istnieje wiele drobnych fabryk, zatrudniających po kilkunastu lub nawet kilku robotników. Właściciele tych fabryczek nie stosują się do przepisów obowiązujących przemysł, nie zawierają z robotnikami umów zbiorowych i t. p., jednem słowem prowadzą system produkcji rabunkowej. Z temi fabryczkami walczą nawet wielkie zakłady przemysłowe. Praca w tych fabryczkach prowadzona jest w okropnych warunkach, zwłaszcza zimą, gdyż sale są nieopalane i robotnicy pracują w kożuchach i baranich czapach. W celu zmuszenia właścicieli tych zakładów do opalania sal w kilkunastu tego rodzaju zakładach wybuchł strajk okupacyjny.

ILE WYPŁACONO ZASIŁKÓW.

W ciągu 9 miesięcy r. b. w obrębie całego państwa wypłacono zasiłki dla bezrobotnych w ogólnej sumie 30.313.318 zł. Z tego Zakład Ubez. Społ. wypłacił pracownikom umysłowym 8.076.891 zł. a Fundusz Pracy bezrobotnym robotnikom 22.236.427 zł.

J. J.

ADAM ORDĘGA.

Państwowa Rada Oświecenia Publicznego

Niedawno doniosły dzienniki, że prof. Świętosławski zamierza w najbliższym czasie zwołać posiedzenie „Państwowej Rady Oświecenia Publicznego". Warto więc zastanowić się nad zadaniami, składem osobowym i przyszłością tej instytucji. Stworzył ją w 1932 r. Janusz Jędrzejewicz, by wytworzyć fikcję, że ustawy o ustroju szkolnictwa i szkołach akademickich przeszły przez filtr dyskusji kompetentnych fachowców. Sam pomysł stworzenia tego rodzaju instytucji jest niewątpliwie słuszny. Trzeba społeczeństwu bowiem dać możność wypowiedzenia się w sprawach wychowania i szkoły, trzebaby obok głosu administracji szkolnej i sfer nauczycielskich mogły znaleźć odbicie zapatrywania wielkich towarzystw oświatowych, przedstawicieli nauki, zrzeszeń rodzicielskich, wszystkich ruchów ideowych, które prowadzą pracę oświatową, teoretyków - pedagogów, publicystów, interesujących się temi zagadnieniami. Rada Oświecenia Publicznego, którąby się stała wyrazem opinji tych sfer, mogłaby odegrać doniosłą rolę w kształtowaniu polskiego szkolnictwa. Niestety, myśl w zasadzie słuszna, w wykonaniu została całkowicie spaczona. Ustawa bowiem z 25 października 1932 tak była pomyślana, że Rada Ośw. Publ. stała się nie wyrazem przekonań kół fachowców na sprawy szkolne, lecz czemś w rodzaju urzędniczego „beiratu" pana Jędrzejewicza. Zaciążył na niej fakt zbyt licznego udziału przedstawicieli administracji szkolnej. Jeśli bowiem w skład jej wchodzą podsekretarze, dyrektorowie departamentów ministerstwa oświaty, wszyscy kuratorowie okręgów szkolnych, to nic dziwnego, że w pierwszym składzie Rady Oświecenia 27% osób stanowili sami przedstawiciele administracji szkolnej. Jeśli się zaś doda, że ośmiu znawców zagadnień oświatowych ma prawo zaprosić minister zupełnie wedle własnego uznania — a w pierwszej radzie byli nimi sami członkowie „Zrębu" (Ehrenkreutz, Czerny oraz Wałek - Czernecki), że dalej minister ma prawo dokonywać swobodnego wyboru instytucyj i zrzeszeń, które mają delegować przedstawicieli, to jasnem się stanie, że skład Rady był tak dobierany przez Janusza Jędrzejewicza, by z jednej strony wytworzyć pozory współpracy ze sferami fachowców, z drugiej, by stworzyć ciało, któreby posłusznie przyjęło wszystkie przedłożenia rządowe. Przyczem inicjatywę Rady zgóry skrępowano tem, że według paragrafu 2 wspomnianej ustawy, ma ona za zadanie tylko rozważanie tych zagadnień i projektów, które jej przekaże minister W. R. i O. P. Dla uzupełnienia warto dodać, że w przeciwieństwie do licznego udziału biurokracji szkolnej Polska Akademja Umiejętności, ma prawo delegowania tylko jednego przedstawiciela. Czterech rektorów szkół akademickich powołuje się narówni z czterema przedstawicielami Związku Nauczycielstwa Polskiego. Nauczycielstwu zaś szkół średnich, wyznaczyła ustawa tylko 3 miejsca. Nic dziwnego, że tak skonstruowana Rada Oświecenia Publicznego nie odegrała większej roli w życiu szkoły polskiej. Dwa tylko razy bodaj, mniejszość Rady zdawała sobie sprawę z istotnych potrzeb oświaty polskiej. Raz, gdy przedstawiciele szkół akademickich potępili energicznie projekt nowej ustawy o szkołach akademickich, drugi raz, gdy w r. 1935 prof. Stanisław Estreicher i prof. Bogdan Nawroczyński poddali rzeczowej krytyce programy przyszłych liceów ogólnokształcących. Pozatem Rada stawała się bądź odskocznią dla wygłaszania panegiryków pod adresem wielkich „reformatorów" ze strony usłużnych urzędników, bądź trybuną dla nietyle wesołych ile raczej smutnych ze względu na swój poziom elukubracyj „antybelferskich" Kadena.

Wielkie problemy oświatowe Polski współczesnej — załamanie powszechności nauczania i grożąca fala analfabetyzmu, bezrobocie wśród nauczycieli — nie znalazły wyrazu na posiedzeniach Rady, a gdy nawet nieliczni niezależni członkowie usiłowali je poruszyć, gubiły się gdzieś niepostrzeżenie w różanej wodzie urzędowego optymizmu. W tych warunkach opinja publiczna mało zwracała uwagi na posiedzenia Rady. Głos jej nie zaciążył w niczem na ukształtowaniu rzeczywistości szkolnej. Tylko dowcipnisie używali sobie coniemiara na temat „paropu".

Ostatnio rozporządzenie prof. Świętosławskiego wydane w październiku 1936 r. słusznie całkiem zwiększyło liczbę rektorów szkół akademickich do 6-u, nauczycielstwa szkół średnich do 4, wprowadzając równocześnie 3 przedstawicieli związku miast, powiatów i gmin wiejskich oraz przedstawiciela Akademji Nauk Technicznych i Polskiej Akademji Literatury. O ile przyklasnąć należy zwiększeniu liczby przedstawicieli szkół akademickich, wprowadzeniu reprezentanta Akademji Nauk Technicznych, powiększeniu (nazbyt małemu!) liczby nauczycieli szkół średnich, o tyle pomysł wprowadzenia przedstawiciela PAL-u budzi najdalej posunięte zastrzeżenia. Obrady PAL-u nad programami polonistyki w r. 1933 były dowodem, że problemy życia szkolnego są większości naszych akademików całkowicie obce. Czy pan Minister zamierza powołać Kadena czy Rzymowskiego? Nawet jednak w całości korzystne rozporządzenie prof. Świętosławskiego nie uratuje Rady Oświecenia Publicznego w opinji społeczeństwa. Tu trzeba gruntownej zmiany, a nie półśrodków.

Nasuwa się tu analogja z dzisiejszym sejmem. Tak, jak jego obrady nie budzą żadnego w społeczeństwie oddźwięku z powodu ordynacji wyborczej, która dała całkowicie skrzywiony obraz społeczeństwa, tak i sposób powoływania i doboru członków Rady Ośw. Publ. sprawił, iż nie odzwierciadlają się w niej istotne przekonania społeczeństwa, a w szczególności kół fachowców na sprawy szkolne. Dlatego wydaje się nam, że zwołanie Rady Ośw. Publ. w danym jej składzie byłoby dziś krokiem zupełnie chybionym. Trzeba z niej uczynić organ fachowców, a nie biurokracji szkolnej. By wysłuchać głosów kuratorów czy dyrektorów departamentu nie trzeba zwoływać posiedzeń Rady Ośw. Publ. Tylko wtedy może Rada stać się instytucją nad wyraz pożyteczną, jeśli zmieni się jej skład, jeśli wejdą do niej w należytej proporcji przedstawiciele nauki, zrzeszeń rodzicielskich, wielkich towarzystw oświatowych i ruchów ideowych, które prowadzą pracę oświatową. Trzeba z niej uczynić teren swobodnego ścierania się opinji społeczeństwa i kół fachowców pedagogicznych, a nie przybudówkę biurokratyczną. Bo nowego życia w dotychczasowy skład Rady Ośw. Publ. nikt nie potrafi tchnąć. Zanadto ciąży na niej era „jędrzejewiczyzny", członkowie tego typu, co Karol Makuch, Kaden, Jahoda - Żółtowski, Stefan Drzewiecki, czy Stanisław Machowski nie dodali instytucji autorytetu w oczach społeczeństwa. Odcięcie się od „jędrzejewiczyzny na tym terenie dałoby się przeprowadzić bez żadnego wstrząsu. Trzeba, by „parop" przestał nim być.

JAN BEZŁASKI.

Upowszechnienie własności[1])

III.

Postępy upowszechnienia własności w praktyce.

W dwóch poprzednich artykułach rozważyliśmy podłoże socjologiczne upowszechniania się własności i podstawy techniczne tego procesu. Jakże przedstawia się ta sprawa w praktyce? Czy upowszechnienie własności robi w praktyce postępy i jakie są tej tendencji przejawy? Otóż niewątpliwie proces ten postępuje naprzód i widać to niezmiernie wyraźnie w szeregu dziedzin.

Tak więc np. w rolnictwie. Nie jest argumentem na rzecz upowszechniania się własności reforma rolna, w wyniku której większe gospodarstwa rolne dzielone są na małe. Nie jest dlatego, że proces, odbywający się pod przymusem, nie może świadczyć o tym, że naturalne tendencje gospodarcze idą w tym samym kierunku. Jednakże rozpadanie się latyfundiów, parcelacja większych gospodarstw na gospodarstwa chłopskie miały miejsce i u nas i gdzieindziej również wtedy, kiedy nie działał przymus prawny, kiedy nawet, przeciwnie, większa własność ziemska rozporządzała znacznemi wpływami politycznemi w przeciwieństwie do małej własności, której emancypacja polityczna w Polsce jest zjawiskiem zaledwie kilkunastu ostatnich lat. W całym szeregu krajów zanik latyfundjów, a nawet zanik większych gospodarstw folwarcznych odbył się w drodze procesu najzupełniej samorzutnego, bez działania żadnego przymusu prawnego.

Wskazuje to, że upowszechnianie się własności w dziedzinie rolnictwa ma charakter najzupełniej naturalny, co jest tem bardziej godne uwagi, że gospodarstwo folwarczne ma niewątpliwie pod wieloma względami wyraźną przewagę techniczną, wynikającą nietylko z większej wiedzy fachowej kierowników takich gospodarstw, ale przedewszystkiem z tego powodu, że na terenie gospodarstwa folwarcznego opłaca się stosowanie różnych maszyn, które nie opłacają się w gospodarstwie chłopskiem. Drugim przykładem upowszechniania się własności jest rozwój

[1]) Poprzednie artykuły w n-rze 12 i 13.

rzemiosła. Bardzo pouczająca jest pod tym względem polska statystyka: w r. 1932 (t. zw. „dno kryzysu") ilość przedsiębiorstw rzemieślniczych wyniosła 320.517 [1]), w roku 1934 — 329.770 [2]). I właśnie nie okres wysokiej konjunktury, kiedy egzystencja każdego niemal warsztatu pracy — dużego czy małego — jest względnie łatwa, świadczy o walorach gospodarczych danego typu przedsiębiorstwa, ale okres kryzysu, okres trudności.

Gdy się mówi o drobnych gospodarstwach rolnych, o warsztatach rzemieślniczych, jako o przykładach racji bytu i żywotności drobnych przedsiębiorstw, niezmiernie często spotyka się argument, że są to ustroje gospodarcze niekapitalistyczne, a sedno sprawy tkwi w tendencjach, jakie wykazują ustroje kapitalistyczne. Argument ten jest, naszem zdaniem, pytki i niesłuszny. Przedewszystkiem te dwie dziedziny mają niezmiernie istotne znaczenie w gospodarstwie narodowem, zatrudniają bardzo wielką część ludności — w Polsce np. znakomitą większość. Co zaś jest jeszcze ważniejsze, to fakt, że te ustroje gospodarcze istnieją i rozwijają się współrzędnie z ustrojami kapitalistycznemi. Jest to niezmiernie istotną wskazówką, że drobny warsztat i drobna własność mają całkowicie dostateczne gospodarcze podstawy istnienia również w gospodarce kapitalistycznej.

Przejdźmy jednak do form niewątpliwie kapitalistycznych.

Otóż okazuje się, że koncentracja t e c h n i c z n a produkcji czy handlu, bynajmniej nie zawsze pociąga za sobą koncentrację f i n a n s o w ą, koncentrację własności. Mamy tu na myśli, oczywiście, spółki akcyjne, spółki z ograniczoną odpowiedzialnością oraz niektóre spółdzielnie (nie spożywców). Rzecz prosta, że, jeśli się ma na myśli nasze polskie stosunki, gdzie rynek finansowy znajduje się w stanie patologicznym, akcje nie przynoszą dywidendy, a kapitalizacja wewnętrzna znajduje się w powijakach i ogranicza się do najbardziej prymitywnych form, mówienie o spółkach akcyjnych jako o formie upowszechnienia własności spotyka się albo z wymyślaniem — u ludzi mniej kulturalnych — albo z pobłażliwym wzruszeniem ramion — u ludzi wykwintnych. Ale jeśli rozejrzeć się nieco po świecie i zajrzeć właśnie do krajów kapitalistycznych, to można się bez trudu przekonać, że spółki akcyjne i spółki z ograniczoną odpowiedzialnością są istotnie formą upowszechnienia własności. Co więcej, trzeba powiedzieć, że koncentracja techniczna zmusza do dekoncentracji finansowej, gdyż wielkie przedsiębiorstwa wymagają tak olbrzymich kapitałów, iż niema innego sposobu ich sfinansowania, jak odwołanie się do najszerszych warstw drobnych kapitalistów.

Oczywiście, nie może być mowy o tem, aby dziesiątki tysięcy ludzi z a r z ą d z a ł y wielkiemi przedsiębiorstwami, ale niewątpliwie te dziesiątki tysięcy ludzi p o s i a d a j ą te przedsiębiorstwa, a bezpośredni ich zarządcy muszą się liczyć i z opinją tych drobnych właścicieli i z tem, aby te tysiące drobnych akcjonarjuszy miały interes w posiadaniu akcyj danej spółki, bo inaczej nie może ona liczyć ani na dopływ nowego kapitału, ani nawet na kredyt. Jest to sytuacja mniej więcej analogiczna, jak z rządem i parlamentem w tych krajach, gdzie istnieje p r a w d z i w y parlament i n a p r a w d ę odpowiedzialny przed nim rząd.

Warto wspomnieć, że fakt upowszechnienia się własności w spółkach akcyjnych doprowadził do wytworzenia się specjalnych instytucyj, mianowicie „investment trust". Są to spółki, których zadaniem jest zbieranie drobnych kapitałów, celem lokowania ich w przedsiębiorstwach przemysłowych, handlowych, bankowych, komunikacyjnych, ubezpieczeniowych i t. d Drobny kapitalista, który nie może orjentować się dokładnie w istotnej wartości znajdujących się na rynku walorów, powierza swoje pieniądze investment trust'owi (w formie zakupu udziałów w takiej spółce), który za niego dokonywa lokaty, a dysponując odrazu większemi sumami, posiadając wytrawnych znawców w dziedzinie finansowej i gospodarczej, może to uczynić o wiele korzystniej, aniżeli poszczególni drobni inwestorzy.

Zdarzają się, naturalnie, nadużycia w spółkach akcyjnych, i to grube nadużycia. Nadużycia zdarzają się wszędzie. Tego tematu nie mamy potrzeby specjalnie rozwijać. Tym razem nie trzeba już zaglądać do krajów kapitalistycznych.

Przejdźmy teraz do wielkiej dziedziny ruchu oszczędnościowego.

W Polsce istnieje w praktyce właściwie tylko jedna forma oszczędzania, mianowicie w postaci wkładów w publicznych instytucjach oszczędnościowych — P. K. O. i komunalne kasy oszczędności — a w mniejszym stopniu w bankach. Poza Polską ta forma oszczędzania ma jeszcze duże znaczenie przedewszystkiem w krajach środkowej Europy jak Niemcy, Czechosłowacja, Austrja. W krajach anglosaskich natomiast stosunkowe znaczenie tej formy kapitalizacji jest mniejsze wobec silnego rozwoju innych form. Podkreślić przytem wypada, że ta forma oszczędzania — wkład oszczędnościowy — wykazuje bardzo dużą odporność na zmiany sytuacji gospodarczej. Nawet w latach bardzo ciężkich mieliśmy w Polsce bardzo poważny przyrost wkładów: od r. 1928 do r. 1935 włącznie wkłady oszczędnościowe w Polsce wzrosły z 447 milj. zł. do 1.331 milj. zł., t. zn. ze zł. 14,5 na głowę ludności do zł. 39,3.

Inna forma, z której korzysta drobna kapitalizacja — to ruch oszczędnościowo - budowlany. U nas w Polsce forma ta jakoś dotychczas się nie przyjęła, ale w wielu krajach dała bardzo poważne rezultaty, pokrywając kraj tysiącami małych jednorodzinnych domków (nie należy tych kas oszczędnościowo - budowlanych mieszać z naszemi spółdzielniami budowlanemi, opartemi przedewszystkiem na kredycie ze źródeł publicznych). Szczególnie w Stanach Zjednoczonych ta forma kapitalizacji rozwinęła się bardzo silnie.

Bardzo interesującą formą ruchu oszczędnościowego jest też ubezpieczenie na życie, instytucja mało dotychczas u nas rozwinięta, a mająca z punktu widzenia „drobnego ciułacza", który może „nie zdążyć" sam zaoszczędzić jakiejś większej sumki, bardzo duże zalety.

Wreszcie — aby zakończyć ten przegląd form upowszechniania się własności wśród najszerszych warstw społeczeństwa — trzeba wspomnieć o lokatach w obligacjach państwowych, komunalnych, czy przemysłowych, nabywanych z istotnych nadwyżek ponad wydatki konsumcyjne ludności, a nie pod przymusem obowiązku patrjotycznego z uszczerbkiem dla bieżącej konsumcji. Znowu Polska nie jest tutaj dobrym przykładem, bo, aczkolwiek nasze obligacje państwowe i komunalne przynoszą kilkanaście procent rocznie, nie można mówić o istnieniu samodzielnego rynku na te walory, niezależnego od publicznych instytucyj kredytowych. Natomiast w wielu krajach, od naszego zamożniejszych, ten typ lokaty przyciąga bardzo znaczne kapitały.

Chcemy tu zwrócić uwagę na jedno zagadnienie: chociaż takie formy kapitalizacji finansowej jak wkład oszczędnościowy, polisa ubezpieczenia na życie, obligacja są tylko formami w ł a s n o ś c i, niezwiązanemi z jakąś p r o d u k c j ą, dokonywaną przez właściciela wkładu, polisy czy obligacji, to niezmiernie często stanowią wstęp, przygotowanie, właśnie do działalności gospodarczej. Za 100 zł. nie można jeszcze założyć ani warsztatu rzemieślniczego, ani sklepu, ani tem bardziej małej fabryczki, ani kupić małego kawałka ziemi. Ale już przy 1.000 zł. sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Ten odstęp między 100 zł. a 1.000 zł. wypełnia kapitalizacja pieniężna, finansowa, w tej czy innej formie. Dlatego też jej rozwój jest niezmiernie ważny dla rozwoju własności produkcyjnej i dla własności użytkowej trwałej (dom), jest jej przesłanką. Dlatego też rozmiary kapitalizacji finansowej wskazują na możliwości danego kraju w dziedzinie tworzenia nowych drobnych warsztatów pracy.

Źle jest natomiast, jeśli kapitalizacja finansowa staje się celem sama w sobie, jeśli nie doprowadza właściciela pieniędzy do własności warsztatu pracy. Wówczas można mówić o szerzeniu się „emerytalnego światopoglądu". To zależy jednak nie tylko i nie tyle od uwodobań poszczególnych ludzi — bo człowiek żywy naogół ma zawsze większą skłonność do aktywności, do tworzenia, do pracy, niż do bezczynnego użytkowania — ile od warunków, w jakich warsztaty pracy się znajdują. Jeśli — jak u nas np. — wkład oszczędnościowy jest specjalnie pod każdym względem uprzywilejowany (zwolnienie z podatku dochodowego, wyłącznie z pod egzekucji przymusowej), to jasną jest rzeczą, że istnieją silne hamulce, paraliżujące ten proces przekształcania się kapitalizacji finansowej w kapitalizację rzeczową, w kapitalizację bezpośrednio produkcyjną.

* * *

Rozważania nasze zbliżają się ku końcowi. Gdy stwierdziliśmy, że istnieją zarówno socjologiczne jak techniczne podstawy upowszechniania się własności, że proces ten w sposób najzupełniej naturalny i samorzutny odbywa się powszechnie, pozostaje nam zastanowić się, co państwo mogłoby zrobić, aby ten proces ułatwić i poprzeć. Tak właśnie: ułatwić i poprzeć, natomiast nie narzucić ani zastąpić. Bo w skuteczność takich zabiegów nie wierzymy absolutnie.

Temu zagadnieniu poświęcimy ostatni z cyklu naszych artykułów o upowszechnieniu własności.

---

[1]) Przedsiębiorstwa posiadające karty rzemieślnicze. Jeśli dołączyć przedsiębiorstwa bez kart rzemieślniczych ilość tę należy podwyższyć o ca 50%.

Reportaż — bardzo ważny[1])

Ukazała się duża, bardzo starannie wydana książka pana Melchiora Wańkowicza, zawierająca opis wakacyjnej podróży kajakiem po Prusiech Wschodnich a w szczególności po południowych Prus Wschodnich powiatach, po tych okolicach, gdzie rozegrała się fatalna kampanja plebiscytowa po wojnie, a gdzie potem jeszcze i dotychczas działa i eksterminuje ponury fanatyzm niemiecki.

Ciekawa i bardzo ponętnie napisana książka Wańkowicza, autora kilku reportaży, nie jest równa. Oczywiście ani przez chwilę nie będziemy zastanawiali się, dlaczego uznał za wskazane połączenie półdziecinego tonu (rozmów z córką, która mu towarzyszyła) z reportażem wymierzonym na odleglejszą metę.

Z tego połączenia wyszedł wielki i ważny reportaż pełen przemytniczej techniki. Więc powiastka przy ogieńku, więc dowcipem przy bufecie, więc cytowanym wierszykiem, więc zasłyszaną anegdotą, więc belletryzowaniem faktów przemyca się prawdziwą treść, prawdziwą historję Prus Wschodnich. Przemyca się lekko, ale dosadnie, uważa się na czytelnika, aby zanadto nie skupił się na politycznej stronie obserwacji, przewraca się tę stronę i śpieszy dalej do innych widoków.

To co się odbywa obecnie w Prusiech Wschodnich a także na innych przygranicznych terenach niemieckich, jest niczem innem, jak tylko karczunkiem dokonywanym z rozmysłem, starannością przy pomocy metod dobranych i wybranych. Karczuje się polską ludność i niszczy ją, aby wkrótce gleba po niej zarosła, aby jej po prostu nie było. Oczywiście możemy to opisywać rozmaitemi sposobami, możemy się skarżyć, możemy piorunować, możemy szukać winnych po obu stronach granicy, możemy wyliczać socjologiczne, gospodarcze i inne jeszcze przyczyny, dla których odpór ludności jest słabszy lub silniejszy, jednem słowem możemy stworzyć „literaturę przedmiotu", która w ewentualnych późniejszych rozrachunkach jeszcze swoją rolę odegra. Jakikolwiek jednak wybierzemy punkt widzenia, podejście lub ogarnięcie przedmiotu w niczem tego elementarnego zjawiska zmienić nie potrafi. Z drugiej strony społeczeństwo polskie w obecnej swojej ustrojowej i organizacyjnej sytuacji nie może wpłynąć w tej chwili na drugi podstawowy fakt, że mianowicie rząd polski nie zajmuje wobec tej taktyki niemieckiej stanowiska zdecydowanego, że przeciwnie zajmuje stanowisko chwiejne.

Dlaczego tak czyni? Jest to właściwie kwestja akademicka, nie dowiemy się tego w tej chwili. Dowiemy się później i wówczas automatycznie nastąpi zmiana na lepsze, skończy się bierna postawa społeczeństwa polskiego. Naturalnie mamy jak zwykle zaraz pod ręką wyjaśnienie, że należy rozróżniać pomiędzy stanowiskiem rządu a podrywem regionalnych czynników, krzyżujących lepsze zamysły władz centralnych. Często tak przemawia niemiecki urząd do spraw zagranicznych, tak przemawiał ongiś np. Łunaczarski, gdy zapytywano go o przyczyny pożarów wszczynanych w cerkwiach i kościołach na terytorjum Rosji sowieckiej. I nie tylko on. Dyktatura sama karze *niedociągnięcia*, z reguły bezsilną się okazuje wobec *przeciągnięcia*.

I o przeciągnięciach dowiadujemy się bardzo dużo. Stanowią najlepiej udokumentowaną część książki Wańkowicza, najbardziej zbliżoną do oryginału, z którego zdjęcie podróżnik wraz ze swoją małą towarzyszką zrobił. I pod tym względem zwycięstwo odniósł prawdziwe. Podał do wiadomości mnóstwo faktów i szczegółów może i znanych, lecz nie opisanych tak wyraźnie, nie zebranych razem, obok map, obok fotografji, obok ilustracyj. Wszystkie razem składają się na dokładniejszy, niżbyśmy mogli przypuszczać, trop Smętka. Smętek, coprawda, nie daje nam pełnego zadowolenia. W tem powołaniu się na Żeromskiego tkwi doza pretensjonalności, której niewątpliwa obecność psuje to, co pozatem jest bez zarzutu.

Cóż robią ci Mazurzy pod ślepym butem pruskim, ci prześladowani w biały dzień nie za politykę, nie za mowę, nie za wiarę — lecz poprostu za oddech, za sam fakt istnienia? Nic nie robią, żyją i starają się nie dać poznać po sobie, że żyją. Na nich to bezbronnych i zawsze w sensie państwowym, językowym, nawet wyznaniowym — lojalnych obywateli wywarła swą zemstę zbiorowość niemiecka za pierwotną klęską wojny światowej. Ci Niemcy, którzy nie mogli zwyciężyć na linji Zygfryda, zwyciężali pod Szczytnem i Olsztynem. Furja z jaką uderzyli po plebiscycie na resztki Mazurów, nie da się niczem usprawiedliwić, jeśli weźmiemy za probierz aktualny stan kultury europejskiej. I daremno byłoby udawać, że tego się nie widziało, nie pamięta. W tej chwili słabsi jesteśmy od Niemców na tym (i nie tylko na tym) odcinku o całą słabość czy niższość naszej umiejętności działania, wpływania i opisywania. Tylko ktoś, kto zupełnie nie zna Niemców, może przypuszczać, że Niemcy nie mogą być inni, że mamy do czynienia ze zjawiskiem żywiołowem, z jakąś bachanalią gigantyczną, z czemś w rodzaju cyklopicznego: „naród ten musi się wyszumieć". Mamy powody przypuszczać, że tak myśli wielu Anglików i że tak myślą niektórzy Francuzi. Im to należałoby powiedzieć, że tak nie myślą przedewszystkiem sami Niemcy. Gdyby chciały, mogłyby zahamować swoją niewczesną zemstę, swój szał eksterminacyjny. Ale nie chcą... I zaczyna się nowy rozdział w każdej książce o Niemczech na Wschodzie. I pojawiają się cienie tysiącznych ofiar, których mogiły stanowić mają most pomiędzy sąsiadującemi od wieków narodami. W książce Wańkowicza... „Na tropie Smętka", że niby zły duch ciągle macza palce w tej niezgodzie, pochód cieniów otwiera Kalkstein storturowany przez elektora, a kończy dziewczyna kilkunastoletnia „zaginiona" w więzieniu narodowych socjalistów, młoda chłopka Bubullówna.

Pan Wańkowicz przerobił ogromny materjał, udostępnił go, uskrzydlił i zaprawił aktualnością. Nie będziemy przeto wytykać mu tego, co uważaćby można za zbyteczne lub niedomówione, za przesadne lub za— ny jest ten reportaż.

M. R.

[1]) Melchior Wańkowicz: Na tropach Smętka. Wydawnictwo: Bibljoteka Polska, Warszawa 1936. Str. 366.

J. Malinowski.

Armja narodowa, czy zawodowa?

Olbrzymi rozwój techniki wojskowej nasuwa niektórym teoretykom wojskowym wątpliwości, czy obecny system obrony, polegający na armji narodowej, nie staje się już przeżytkiem i czy nie jesteśmy w przededniu ery, w której obrona kraju będzie musiała się oprzeć na armji specjalistów i zawodowców?

Problem powyższy był już bardzo szeroko omawiany przed kilku laty w całej prasie wojskowej europejskiej, a przedewszystkiem francuskiej i niemieckiej, z udziałem takich powag wojskowych, jak generał von Seeckt, organizator niemieckiej Reichswehry i b. szef sztabu gen. francuskiego generał Debeney. Największe zainteresowanie powyższym tematem zdradzały jednak wojskowe sfery niemieckie. Przez czas dłuższy po pokoju wersalskim, bo prawie do 1930 roku, niektórzy wybitni wojskowi niemieccy skłonni byli uznać narzucone Niemcom przez traktat wersalski wojsko zawodowe, jako jedynie odpowiadające nowoczesnym poglądom na wojnę, i uważać je jako nową formę armji przyszłości. Najbardziej skrajni zwolennicy armji zawodowej dowodzili, iż obecny system wojny jest apoteozą trzody, „Trzody Kserksesa i Darjusza" i że dzisiejszego żołnierza nie wychowuje się na bojownika, lecz tysiącami wypuszcza według szablonu. Trzeba wyzwolić się z obecnego systemu „narodu pod bronią". Wojna światowa przez masowe rzezie spowodowała upadek sztuki wojennej i zniszczyła czynnik moralny w postaci poświęcenia i bohaterstwa. Inne argumenty na korzyść armji zawodowej brzmiały mniej więcej następująco: przez dobór ludzi i przez długie wyszkolenie wojsko zawodowe może osiągnąć takie wyżyny doskonałości, jakie nigdy nie będą możliwe dla wojska, w którem kontygenty zmieniają się co roku, a nawet co dwa lata. Wojsko zawodowe zaopatrzone w najnowsze zdobycze techniki może w nagłej „druzgoczącej ofensywie" obezwładnić o wiele silniejszego przeciwnika, wtargnąwszy w głąb kraju zniszczyć ośrodki mobilizacyjne i rozbić wroga, nim ten zda sobie sprawę z faktycznego stanu rzeczy. Powyższym argumentom nie można odmówić pewnej słuszności.

Zdaniem przeciwników armji zawodowej, tylko w wyjątkowo sprzyjających okolicznościach, przez zupełne zaskoczenie przeciwnika, nieliczna armja „mechaniczna" może rozstrzygnąć o losach wojny jednem drugoczącem uderzeniem. Każde załamanie się jej ataku czy też przeciąganie się akcji przez natknięcie się na rejony ufortyfikowane, lub też nadspodziewany opór oddziałów osłonowych, może krótkotrwałe powodzenie zmienić w klęskę. Trzeba pamiętać, że mechaniczna armja kruszeje w walce bardzo szybko i że bez systematycznego zaopatrywania uderzenia jej będą słabły z każdym dniem. Najlepiej wyszkolona, uzbrojona i najbitniejsza armja pod słońcem, zaatakowana z różnych stron przez liczniejszego przeciwnika, chociażby gorzej wyszkolonego i uzbrojonego, lecz pełnowartościowego pod względem moralnym, będzie musiała ulec.

Największe powagi wojskowe zgodne są w opinji, że tylko armja narodowa oparta na powszechnym obowiązku służby wojskowej zdolna jest do skutecznej obrony kraju. Najgorliwsi jednak zwolennicy tego systemu muszą przyznać, że w obecnej dobie więcej niż kiedykolwiek potrzebni są na wojnie wykształceni zawodowcy, oraz specjaliści. Obrona kraju nie może więc polegać wyłącznie na kontyngencie poborowym, lecz „naród pod bronią" musi posiadać

(Dok. na str. 10-ej)

Angielski Pacyfista, o ewentualnej wojnie Niemiec z Rosją

(Korespondencja własna).

W jednym z najpoważniejszych dzienników angielskich, w „Times" z 24 ub. miesiąca b. r., pojawił się znamienny list otwarty wysokiego dostojnika kościoła anglikańskiego, dziekana z Cantenbury, Hewlett Johnson. List ten jest bardzo znamienny dla współczesnej opinji angielskiej, o ile chodzi o stosunek tego państwa do Niemiec; brzmi on w skróceniu:

„Po wojnie odnosiłem się do Niemiec bardzo życzliwie. Rozumiałem, jak głęboko upokorzył dumę niemiecką traktat wersalski z wszystkiemi jego konsekwencjami. Zaraz po zawarciu pokoju udałem się do Niemiec i współdziałając z towarzystwem „Society of Friends", starałem się na wszelkie sposoby ulżyć ciężkiej doli zwyciężonych. Wymagało to dość dużo odwagi cywilnej, gdyż opinja naszego kraju, była dla Niemiec bardzo nieprzychylna. Dzisiaj wiele zmieniło się na lepsze.

Młodzież niemiecka przybywa często do naszych obozów letnich nad morzem, przyjaźni się z młodzieżą podległych mi szkół w Canterbury; młodzi nawiązują z sobą przyjazne stosunki — nie można już dziś mówić o wzajemnej nienawiści. Zbliżenie takie młodzieży dwóch narodów, które niedawno z sobą walczyły, uważam, jako zdecydowany pacyfista, za objaw dodatni i korzystny dla idei pokoju.

Muszę jednak zrobić pewne zastrzeżenie. Jak sobie wytłumaczą dzisiejsi władcy Niemiec te przyjazne nastroje angielskiej młodzieży?

Czas już wypowiedzieć głośno, o czem od dłuższego czasu mówi się pocichu w różnych kołach. Wielu w Anglji twierdzi, że Hitler i jego doradcy, licząc na neutralność Anglji, mogliby niespodziewanie zaatakować Rosję, spodziewając się może pomocy ze strony Anglji.

Stosunek Anglji do Sowietów, ocena panujących tam stosunków, zmieniły się bardzo w ostatnich czasach. Mimo wszystko Anglicy nie wierzą, by Stalin potrafił wywołać rewolucję światową, pozatem mają wstręt do każdego niespodziewanego ataku, który zawsze uważają za bezprawie.

W razie zbrojnego starcia między Rosją a Niemcami ujawniłyby się u Anglików jeszcze inne „tradycyjne i elementarne instynkty".

Leży w tradycji polityki angielskiej nie dopuszczać do rozwoju nadmiernej potęgi któregokolwiek z państw, leżących za kanałem. Gdy n. p. Napoleon chciał swoją wolę narzucić nietylko Francji i spokrewnionym ludom romańskim, ale i ludom rasy germańskiej, wystąpiła przeciw temu stanowczo Anglja i nie spoczęła, aż Napoleon znalazł się na wyspie Św. Heleny. To samo było z Wilhelmem II. Wystąpienie Anglji po stronie Francji i wciągnięcie w wojnę Stanów Zjednoczonych, a więc również anglo-sasów, zdecydowało o zwycięstwie i upadku Wilhelma II, który dążył do stworzenia wszechniemieckiego imperjalizmu.

Ten sam zdrowy instynkt każe Anglikom i teraz przeszkodzić Hitlerowi, gdyby chciał zawładnąć Europą wschodnią, wszczynając wojnę z Rosją. Gdyby bowiem Niemcy, przyłączywszy naprzód Austrję i mając decydujący wpływ na Węgry, zdobyły Leningrad, Moskwę i Ukrainę — stałyby się wszechwładną potęgą militarną, która mogłaby decydować o losach Europy.

Obawa przed takiemi następstwami, jestem o tem głęboko przekonany — mówi szanowny autor — zmusiłaby Anglję do stanowczego wystąpienia przeciw Niemcom. Zamilkliby wtedy w Anglji nawet dzisiejsi sympatycy hitleryzmu.

W swoim czasie — przypomina autor — budowaliśmy olbrzymie okręty wojenne, wydając miljony funtów sterlingów, byleby dorównać potędze floty niemieckiej — obecnie rozbudowujemy szybko lotnictwo bojowe, by dorównać, a nawet przewyższyć inne państwa. Anglicy nie lubią wiele mówić — nie znoszą szumnej, przesadnej reklamy i szerokich teatralnych gestów. Działają w milczeniu, lecz ich czyny większą mają wagę, niż ich zwięzła mowa.

Żaden, nawet największy pacyfista angielski, nie może zamykać oczu na fakty. Zanim Niemcy zaatakują Rosję, muszą sobie dobrze przypomnieć wypadki z roku 1914. Wszak i wtedy sądzili, że Anglja pozostanie neutralną i będzie się obojętnie przyglądała upadkowi Francji. Zapłacił za to cały świat hekatombami krwawych ofiar, miljony ludzi wyginęło, miljony inwalidów kalek żyje po dziś dzień — z wielkim trudem i nakładem odbudowano terytorja, zniszczone wojną. Wojna przyszłości byłaby jeszcze straszniejszą przy obecnym rozwoju lotnictwa, broni technicznej i gazowej — wszystko to powinien przemyśleć Hitler i jego doradcy, zanim atakiem na Sowiety sprowokują nową wojnę".

Opinja dziekana z Canterbury odpowiada poglądom przeciętnego Anglika. Polecamy je rozwadze tych, którzy usiłują wyzyskać w kołach „wtajemniczonych" ostatnie zbliżenie polsko - angielskie dla dalszego zbliżenia się Polski do Niemiec i dla uwzględnienia gruntu dla niemieckiej awantury na wschodzie.

N. M.

Armja narodowa, czy zawodowa?

(Dok. ze str. 9-ej)

także możliwie najliczniejszą kadrę zawodową, składającą się z zaciągu ochotniczego. Dlatego też widzimy prawie we wszystkich państwach europejskich dążenie do wzmocnienia swoich kadr zawodowych, w o wiele większym stopniu, niż miało to miejsce przed wojną światową.

Czy jednak system ten długo da się utrzymać, czy rozwój techniki wojskowej i coraz nowe wynalazki nie wywołają już w najbliższej przyszłości przewrotu w dotychczasowej organizacji sił zbrojnych? — Przecież prasa światowa stale roztacza przed nami hypotezy wojny chemicznej i bakterjologicznej, a nawet elektrycznej, nie mówiąc już o krążownikach powietrznych i ruchomych fortecach żelaznych. Zdolności wynalazcze umysłu ludzkiego są tak wielkie, technika wojenna kroczy naprzód tak szybko, że na każdą niespodziankę w tej dziedzinie trzeba być przygotowanym. Zapewne jednak dużo czasu upłynie, nim broń chemiczna czy bakterjologiczna potrafi wywrzeć wpływ na zmianę obecnego systemu; a co się tyczy rozwoju broni mechanicznej, to dopóki w toczącej się obecnie walce pancerza z pociskiem ten ostatni wychodzi zwycięsko, dopóty system „narodu pod bronią" będzie miał jaknajwiększą rację bytu".

L. HERTZ.

W obronie własnej

W 12 numerze Odnowy ukazał się artykuł pióra p. Cyrana, krytykujący moją notatkę pod tytułem „Psychoza własnego domu", ogłoszoną w październikowym numerze Przeglądu Współczesnego. Mam wrażenie, że zachodzi pewne nieporozumienie, które pragnąłbym w miarę możności wyjaśnić. Szanowny krytyk na końcu artykułu pisze: Energja zarobkowa nie jest ani najwyższą ani jedyną energją człowieka, dając tem samem czytelnikowi do zrozumienia, że przeciwne twierdzenie jest kwintesencją mojego artykułu. Muszę stwierdzić, że nigdy nic podobnego nie pisałem. Starałem się tylko wyjaśnić, dlaczego współczesne pokolenie dąży tak silnie do własnego domu i kwestjonowałem celowość subsydjowania tego ruchu z pieniędzy podatkowych. Chociaż sympatje moje są po stronie ludzi XIX wieku, to jednakże nie wynika z tego bynajmniej, żebym usprawiedliwiał ewentualne pobieranie przez nich subsydjów z funduszów publicznych. Cała rzecz polega na tem, że ci ludzie nigdy nie myśleli o możliwości istnienia takich podarunków rządowych z pieniędzy podatkowych. Ze skarbu państwa tylko urzędnicy państwowi względnie nieliczni otrzymywali pensje za swoją pracę. Wszyscy inni płacili podatki potrzebne na zaspokojenie swoich społecznych potrzeb. Rozumieli konieczność tych pieniężnych, nawet i często z życia swojego ofiar, na rzecz wspólnoty, którą nazywamy państwem. Nie jest to wypadkiem, że najbardziej liberalne społeczeństwa, jak Anglja i jej dominja oraz Ameryka, odznaczały się największą moralnością podatkową, i że oba te państwa były w stanie wystawić miljonowe armje wyłącznie z ochotników w czasie wielkiej wojny europejskiej. To są dwa nierozłączne zjawiska. Jeżeli w moim artykule pisałem wyłącznie o zarobkowej stronie życia ludzkiego, to dlatego, że strona ta najlepiej nadawała się do wyjaśnienia omawianego zjawiska. Nie potępiałem obecnego pokolenia, chciałem tylko opisać jedną ze stron jego działalności.

Nie przekonał mnie p. Cyrano swoim opisem współczesnego człowieka na łonie natury, odpoczywającego w swoim domku po swojej tak uciążliwej a tak niewdzięcznej pracy zarobkowej. Wątpię mianowicie, czy ludzie ci wniosą nowe wartości do wielkiej skarbnicy ducha. Postęp jest wywołany wiarą ludzi w nieśmiertelność duszy, wiecznem dążeniem do zapewnienia jej szczęścia w pozagrobowem życiu i w wiecznej tęsknocie za absolutną prawdą. Dlatego ciągle nowe przed nami powstają zagadnienia i wzrasta nowy niepokój, który ogarnia ludzkość. Czy to dylektanckie rozkoszowanie się przyrodą lub zasklepianie się w ciasnym kręgu przyjemności rodzinnego w gruncie rzeczy egoistycznego szczęścia, mogą być dźwigniami postępu? Śmiem wątpić. Pan Cyrano pisze „precz z nomadyzmem". Gdyby ludzkość zastosowała się do tego hasła, my europejczycy nie znalibyśmy ani Ameryki ani Indji ani tajemnic krajów podbiegunowych. Nie wiem, jaki stopień rozwoju osiągnęłaby wówczas nauka i życie duchowe świata. Nie przypisuję decydującego znaczenia życiu gospodarczemu. Zdaniem mojem ma ono znaczenie tylko o tyle, że jest najłatwiejszem polem dla działalności przeciętnej jednostki. Żeby jednostka przynosiła korzyść społeczeństwu, musi twórczo pracować, musi skoncentrować wszystkie siły i dać z siebie to, co ma najlepszego. Otóż dążenie do zdobywania środków materjalnych jest tą siłą, która może zmusić do tego wysiłku najszersze rzesze ludności. Twórcza praca w życiu duchowem, chociaż bezwarunkowo ważniejsza, musi być udziałem niestety tylko wyjątkowych jednostek.

Pan Cyrano kilkakrotnie podkreśla, że w moim artykule mówię o psychologji schyłku. Uważałbym

(Dok. na str. 11-ej).

Przegląd Prasy Krajowej

CANOSSA.

Widoczny postęp ekonomiczny w niektórych państwach Europy, walne zwycięstwo Roosevelta w Stanach Zjednoczonych, ogólny, choć powolny, zanik kryzysu światowego — zwróciły wreszcie uwagę i naszych czynników odpowiedzialnych. Zaczyna się nieśmiało szukać przyczyn dalszego trwania nędzy polskiej. Pisma, które są wyrazem pojęć czynników „państwowotwórczych", poczynają coraz śmielej stosować miarę krytyczną do przeszłości.

Pisze więc, jakby przygotowując dalszą akcję, *„Przegląd Gospodarczy"*:

„Ścierają się w społeczeństwie dwa odłamy. Jeden, który, choćby ze względów ideologicznych, pragnąłby z autarkji, kontroli i planowości uczynić system stały, i drugi, który, choćby z obawy przed zwycięstwem tego kierunku, chciałby jak najprędzej zlikwidować wszystkie odgraniczające nas od zagranicy reglamentacje."

To stan faktyczny. Potem — szuka się źdźbła w oku bliźniego — gorzej, w oku własnego wypielęgnowanego dziecka; przecież to pisze *„Naród i Państwo"*:

„Zbiurokratyzowanie urzędów i instytucyj gospodarczych jest bezwątpienia objawem, który domaga się jak najrychlejszego usunięcia. Tymczasem walkę z biurokratyzmem gospodarczym toczą w tej chwili, niestety, tylko zwolennicy liberalnej i kapitalistycznej polityki gospodarczej."

A na to *„Polityka Gospodarcza"*:

„Zdaje się, że przeżywamy obecnie moment silnej koncentracji nastrojów społeczeństwa przeciwko wręcz niesłychanym i wciąż przytem rosnącym rozmiarom naszej biurokracji i dokuczliwości systemu biurokratycznego. Dochodzi już do tego, że „Naród i Państwo", który ze względu na swoje pokrewieństwa i kontakty mógłby być obroną biurokratyzmu, powiada: „Dość tego!" Dobrze jest oczywiście, że (pismo to) zajmuje postawę teoretycznie antybiurokratyczną, źle jest, że praktycznie nic w tym kierunku nie robi."

Dowiadujemy się dalej z *„Konjunktury Gospodarczej"*, że nie sama biurokracja jest winna. Winien jest także Bank Polski:

„Wpływ wkładów w pewnej — i to prawdopodobnie przeważającej części, nie miał charakteru tezauryzacyjno - deflacyjnego, i o tyle działalność Banku stanowiła czyste tworzenie dodatkowej siły nabywczej. Tworzenie to nie zachodziło jednak w tej mierze, w jakiej Bank Polski wyrównywał odpływ wkładów, będący jedynie wynikiem przechodzenia od jednej postaci rezerw kasowych do postaci innej, to znaczy od rachunku bankowego do obiegu. Ta część ekspansji kredytowej Banku Polskiego była zatem czysto kompensująca i z chwilą powrotu wkładów na rynek jej unicestwienie nie spowodowałoby żadnego kurczenia siły nabywczej. Wynika stąd, że w tym zakresie, w jakim nie odbyło się to unicestwienie poprzedniej ekspansji, *instytucja emisyjna działała inflacyjnie."*

Zawiły ten atak spowodował, jak wiadomo, usunięcie — na interwencję prezesa Banku Polskiego — paru osób z Urzędu Konjunktur.

Dochodzimy stopniowo do punktu kulminacyjnego samokrytycyzmu. Jest nim artykuł w ostatnim numerze wspomnianego tygodnika *„Naród i Państwo"*, napisany przez byłego viceministra skarbu T. Lechnickiego, człowieka —

„który przez ostatnie lat osiem widział Polskę niejako „z obu stron okienka", który jako kolejny referent najdonioślejszych często spraw gospodarczych Państwa, ponosi swój udział w odpowiedzialności za błędy, jak również może mieć pewien udział zasługi z tytułu błędów uniknionych."

Defetystyczny argument o „zasłudze za unikanie błędów" — przypominający dumę uczniaka, że poszedł do szkoły, choć mógł iść na wagary — dowodzi, jak mali, jak bezideowi ludzie ponoszą odpowiedzialność za ostatnie lata naszej ekonomiki. Oparci o „nie razsuždat' " monopartji, podeptawszy kontrolę społeczeństwa, dziwią się, że

„dorobek świadomości ogółu polskiego na tym odcinku (rozumienia posunięć gospodarczych) jest niesłychanie mały, przyczem, powiedzmy śmielej, obóz rządzący nie jest bez winy."

A więc Canossa?

Syntetyczne streszczenie artykułu tak kończy *„Wieczór Warszawski"*:

„Jak widzimy, płk. Lechnicki spowiada się ze swoich zamierzeń i poczynań na stanowisku kierownika polityki gospodarczej rządu, którym był faktycznie przez blizko 6 lat. Pośrednio spowiedź tę należy uważać za wyjaśnienie przyczyn dymisji p. Lechnickiego."

Zdaje się, że w ostatniem zdaniu „Wieczór Warszawski" jest... optymistą.

ECHA PRZEDWOJENNE.

Zdawałoby się, że osiemnaście lat wolności wystarcza, aby zapomnieć o nawyczkach niewolniczych, aby wobec braku Dworu dworactwo wyplenić. Tymczasem tak nie jest. Sanacyjny *„Czas"*, utyskując odważnie na naszą politykę drogową, pisze:

„Aby utrzymać dotychczasowy stan posiadania (dróg bitych), należy pieczołowicie konserwować istniejącą sieć dróg. Dotychczasowa konserwacja polega na przysypywaniu dołków ziemią. Odcinki zniszczone odnawia się gruntownie dopiero wtedy, gdy auto kogoś wysoko postawionego nie może przebyć danej drogi nawet z szybkością 15 km. na godzinę."

Może to tylko przesadna złośliwość dziennikarska? Nie — napotykamy bowiem passus autentyczny w komunikacie P. A. T. o katastrofie kolejowej pod Zabierzowem:

„Uprzątanie torów odbywa się w szybkiem tempie, ponieważ dziś w nocy ma tą drogą jechać pociąg, wiozący vicepremjera Kwiatkowskiego oraz ministrów Romana, Kasprzyckiego i Ulricha."

Zapytujemy: w jakiem tempie odbywałoby się uprzątanie torów, gdyby ten „dworski" pociąg nie miał tamtędy przejeżdżać? Zatarasowanie toru, uniemożliwiające dojazd do pracy i powrót do pracy tysiącom ludzi, mieszkającym pod Krakowem — Zabierzów leży w obrębie ruchu podmiejskiego — nie jest dostatecznym motywem szybkości w naprawie? A zatrzymywanie sześciu międzynarodowych pociągów, które przechodzą tą trasą — z Bukaresztu do Wiednia, do Pragi i do Berlina — również nie? Ale jest nim — w umysłowości urzędniczego sprawozdawcy — przejazd pociągu „dworskiego"...

POWIĘKSZENIE FUNDUSZU DYSPOZYCYJNEGO MINISTERSTWA OPIEKI SPOŁECZNEJ.

Z okazji zbiórki na pomoc zimową dla bezrobotnych podano do wiadomości publicznej fakt, że kilku ministrów przeznaczyło na ten cel poważniejsze kwoty ze swoich funduszów dyspozycyjnych. Nieprzyjemny komentarz do tego sposobu manifestowania ofiarności znajdujemy w wileńskiem *„Słowie"*:

„Jeśli minister poleca wydać pieniądze z funduszu dyspozycyjnego, to osobiście nie ponosi żadnej ofiary. Przecież pobory, wypłacane ministrowi, nie mają nic wspólnego z funduszem dyspozycyjnym, który przeznaczony jest na takie wydatki, których ujawnienie nie byłoby wskazane ze względów państwowych. Jeśli chodzi o zachętę w akcji zbierania składek na bezrobotnych, to oczywiście o wiele większą zachętą byłaby wiadomość, że ministrowie wypłacili mniejsze kwoty, ale z własnych pieniędzy, z własnych poborów."

Nasuwa się zresztą inny prosty wniosek: jeżeli minister może ze swego funduszu dyspozycyjnego przeznaczać poważne sumy na rzecz innego resortu, to widocznie ten fundusz przekracza potrzeby jego resortu. A ponieważ pomoc na bezrobotnych jest zawsze za nikła, więc należałoby poprostu przesunąć owe nadwyżki funduszów dyspozycyjnych do resortu Opieki Społecznej.

AKADEMICKIE BOJE.

Odwieczna historja Żydów na wyższych uczelniach weszła znowu w stadjum zaognienia. Zaczęło się od Wilna, gdzie młodzież zablokowała się w Domu Akademickim i rozpoczęła głodówkę, żądając oddzielnych miejsc dla Żydów. Prasa podzieliła się na dwa obozy. Czytamy w *„Dzienniku Popularnym"*:

„W ubiegły czwartek bojówki endeckie dowiodły, że ciężar chwalebnych tradycyj Uniwersytetu Stefana Batorego jest zbyt wielki, by go mogły podźwignąć faszystowskie ugrupowania młodzieży, mające niestety dotychczas większość na uczelniach polskich. Na sale wykładowe wtargnęły czarne sotnie młodzieży narodowej, bijąc kolegów Żydów."

Broni się przypomnieniem *„Warszawski Dziennik Narodowy"*:

„Prasa frontu ludowego wraz z prasą lewicowo - sanacyjną oburza się na „anarchiczne wybryki młodzieży". Ale czy nie więcej było tych anarchicznych wybryków na uczelniach, gdy przeważały wśród młodzieży żywioły czerwone?"

Rozsegrowanie obywateli różnych ras na oddzielne tramwaje, wagony i restauracje wypróbowano już od kilkudziesięciu lat w Stanach Zjednoczonych. Są więc wzory gotowe i możnaby tę starą inowację przeprowadzać bez niepożądanej przerwy w nauce...

A. W.

W obronie własnej

(Dok. ze str. 10-ej).

za wielki błąd metodologiczny wyciąganie wniosków na podstawie jednego zjawiska. Prawdopodobnie p. Cyrano wyczuł to moje negatywne stanowisko w stosunku do przeciętnych obywateli współczesnych społeczeństw. Pisząc mój artykuł, miałem widocznie mimowoli w pamięci mój artykuł, drukowany w numerze 135/136 Przeglądu Współczesnego pod tytułem „Psychologja schyłku". W artykule tym starałem się dowieść na zasadzie analizy całego szeregu przejawów ludzkiej działalności, że jednakże znajdujemy się na pochyłej idącej na dół. Wyraźnie się zastrzegłem, że pomimo tego wierzę w lepszą przyszłość ludzkości, obserwując wspaniały rozwój ścisłych nauk. Na artykuł ten nawet powoływałem się, w mojej notatce, chcąc wskazać na łączność obu moich prac. Jeżeli wbrew mojej woli czytelnik źle mnie zrozumiał, to proszę o wyrozumiałość. Zdaję sobie sprawę, że jestem człowiekiem, który poza początki pisania już napewno nie wyjdzie.

Z prasy Zagranicznej

SALENGRO.

Śmierć ministra spraw wewnętrznych rozpętała niebywałą burzę w prasie francuskiej. Pomimo, że protokół ustalił samobójstwo, nie brak mniej lub więcej wyraźnych inwektyw, że „kto wie, jak to tam było..." W pierwszej chwili zdawało się, że pęknie front ludowy. Napięcie polityczne jednak chwilowo zelżało, a tylko czasopisma przepełniają zażarte utarczki słowne.

„L'Action Française" wyciąga wniosek ogólny:

„Ten wypadek wykazuje jeszcze jeden raz więcej, że wszelkie próby zduszenia polemik prasowych, dotyczących mężów stanu, pogarszają niebezpieczeństwo. Przemyślne sposoby przygłuszania i utrącania głosów prasy w podobnych wypadkach zwiększają tylko skandal i powodują możność wybuchu."

Część prasy broni się przed zarzutem moralnego zabójstwa, wskazując **„właściwych" winowajców.** Pisze więc *„Le Journal"*:

„Najdotkliwsze kalumnje, na które skarży się Salengro w liście do premjera, rozsiewał dziennik komunistyczny *„L'Enchainé"*. Świstki sowietyzujące nie tylko wystąpiły pierwsze — jeszcze w czasie wyborów — z oskarżeniami i złośliwościami o postępowaniu p. Salengro w czasie wojny, ale w słowach nie kwalifikujących się do powtórzenia roztrząsały zachowanie się pani Salengro pod okupacją niemiecką."

Innego winowajcę znajduje *„L'echo de Paris"*:

„Stoimy wobec śmierci i nie widzimy przyjemności w doszukiwaniu się najnieprawdopodobniejszych hipotez, aby wytłomaczyć beznadziejność i agonję moralną pana Salengro. Natomiast należy podkreślić, że premjer Blum jest wysoce odpowiedzialny za ten wypadek. Salengro, po swych przejściach, nie miał kwalifikacyj na reprezentanta kraju. *Eksponowanie go na członka rządu było poniżeniem Francji.*"

Ileż wypadków takiego poniżenia pamięta się nie tylko we Francji!...

Prasa lewicowa oczywiście wychwala nieboszczyka. Ale nie zawsze szczęśliwie. Nie można np. powiedzieć, aby ekloga w *„Le Populaire"* była szczególnie udana:

„Nawałnica oszczerstw złamała odporność tego tęgiego socjalisty, tego bohaterskiego żołnierza."

RZĄD GEN. FRANCO.

Uznanie rządu gen. Franco przez Niemcy i Włochy poważnie zaniepokoiło Francję. Rozżarzone do czerwoności animozje partyjne z powodów wewnętrznych — śmierci ministra Salengro — chłodną wobec niebezpieczeństwa zewnętrznego i prasa różnych odcieni zajmuje nagle identyczne prawie stanowisko.

„Le Jour" rozumie radość nacjonalistów hiszpańskich,

„Ale jeśli się weźmie pod rozwagę obecną sytuację europejską, w chwili podkreślenia jej przez te dwa akty dyplomatyczne, nie można nie odczuć głębokiego niepokoju przed niebezpieczeństwem, jakie coraz wyraźniej zagraża Europie i Francji.

Oto krucjata krajów o rządach autorytatywnych odtąd *oficjalnie* zaangażowała dwa wielkie mocarstwa w ich wspólnem porozumieniu przeciw rosyjskiemu bolszewizmowi."

„Le Figaro" zwraca uwagę na rozmowy niemiecko - japońskie:

„Skutkiem błędów, popełnianych przez Francję od zwycięstwa frontu ludowego, kwestja komunizmu wysunęła się na pierwszy plan w Europie. Dla krajów ambitnych i awanturniczych komunizm stał się katalizatorem, spajającym je w rodzaj Świętego Przymierza.

Zauważmy, że w tym samym czasie, kiedy rozeszła się pogłoska o porozumieniu niemiecko - japońskiem, usłyszeliśmy o uznaniu rządu gen. Franco przez Niemcy i Włochy. Tak wszystko się rozwija według pewnego planu..."

Widmo dwóch ścierających się frontów w Europie, między któremi trzeba może będzie wybierać (?), niepokoi ludzi, patrzących w przyszłość. Pisze *„La République"*:

„We Francji, co mądrzejsi z nas, mogliby się odrzec obu potworów. Ale co innego na terenie europejskim; Francja bowiem nie jest moralnie jednolita, nie przedstawia już moralnej jedności. Jeśli nawet p. E. Berl pozwoli sobie napisać: „Co mnie to wszystko obchodzi? Nie chcę wybierać między Rosją a Niemcami, tak, jak nie chcę wybierać między komunizmem a faszyzmem" — to przecież nie chodzi o osobę pana Berla, ale o wspólnotę francuską. I Rzym, i Berlin, i Moskwa, i może jutro Madryt — zażądają wyraźnego wypowiedzenia się Francji po stronie Zła lub Dobra choć... same nie będą zgodne co do istoty tych terminów..."

Z okazji uznania rządu nacjonalistów niemiecka *„Germania"* puszcza „balon d'essai":

„Dzienniki angielskie przewidują, że rząd angielski wkrótce uzna obie strony hiszpańskie za państwa, znajdujące się w stanie wojny."

i otrzymuje odwrotnie najautorytatywniejsze zaprzeczenie w mowie min. *Edena:*

„Jest zasadą polityki królewskiego rządu nie brać udziału w wojnie hiszpańskiej i nie udzielać pomocy żadnej ze stron. Rząd królewski nie przyznał dotąd żadnej ze stron praw państwa prowadzącego wojnę i na razie nie ma zamiaru tego uczynić."

O „nieudzielaniu pomocy" pisze *„Daily Herald"*:

„Dowództwo „armji międzynarodowej" spoczywa w rękach ludzi, zaprawionych na innem miejscu w Europie do wojny domowej. Na froncie ludowym znajdują się już dwie brygady po 4000 ludzi. Trzecia brygada, której częścią składową jest pułk francuski, jest w drodze. Wreszcie czwarta brygada odbywa przeszkolenie. Należy do niej 23 Anglików."

BARCELONA.

Anglję obchodzi zapowiedziana blokada. Czytamy w *„Daily Telegraph"*:

„W razie uznania stanu wojennego angielskie okręty poza obrębem „Pasa Trzech Mil" będą musiały być strzeżone przez okręty wojenne."

A w *„Daily Mail"*:

„W tym wypadku musianoby oczywiście zastosować odpowiednie zabezpieczenie na wypadek zatrzymywania i rewidowania okrętów na pełnem morzu."

Posmaki wojenne...

Francja śledzi akcję komunistyczną. Podaje *„Le Matin"*:

„W Barcelonie przygotowuje się w pośpiesznem tempie organizacja Centrali GPU dla Europy. Kierownik Jeżow wydał już odpowiednie wskazówki dla uruchomienia „zagranicznego oddziału operacyjnego". W przyszłości wszystkie oddziały europejskie GPU będą należeć do Barcelony."

Niemcy liczą się z możliwością bombardowania. Dowiaduje się *„Völkischer Beobachter"*:

„Rząd brytyjski polecił generalnemu konsulowi w Barcelonie, aby starał się zapewnić bezpieczeństwo trzystu obywatelom angielskim. Na razie w porcie barcelońskim znajduje się dość okrętów angielskich, by w razie konieczności przyjęły na pokład nie tylko Anglików, ale i obywateli innych krajów."

POLONICA.

Informuje nas *„Prager Presse"*:

„Rokowania polsko - niemieckie, toczące się od paru dni w Berlinie w sprawie tranzytu towarowego przez Pomorze, zostały nagle zerwane. Niemcy odrzucili wszystkie żądania Polski, dotyczące zaległych należności, wynoszących z górą 100 miljonów złotych. Odrzucono nawet polski wniosek kompromisowy, aby stary dług był pokryty importem towarów niemieckich, a tylko bieżący płatny gotówką. Niemcy majz zamiar na przyszłość zrezygnować z tranzytu przez Pomorze, a cały obrót towarowy z Prusami Wschodniemi i dalszym Wschodem skierować na pośpieszne połączenie morskie."

Pod tytułem „Rumunja szuka Polski" komentuje *„Berliner Tagblatt"* program wizyty min. Antonescu w Warszawie:

„Jak ustalono urzędowo, rumuński minister spraw zagranicznych Antonescu w tych dniach przybędzie do Warszawy, by swemu polskiemu koledze Beckowi złożyć zdawna projektowana oficjalną wizytę. Że ta wizyta nie jest prostą formalnością, lecz dążeniem do ożywienie sojuszu, od dłuższego czasu bezkrwistego, dowodem jest, że w towarzystwie ministra spraw zagranicznych znajdzie się dowódca 4-go korpusu rumuńskiego, gen. Athanazescu. Rumunja po odwrocie z osi Paryż — Moskwa szuka znowu swego dawnego przyjaciela — Polski."

W tem samem piśmie znajdujemy wzmiankę o zaburzeniach na uniwersytecie wileńskim, pod znamiennym tytułem: „Ghetto - Bänke":

„1200 studentów opuściło dzisiaj budynek uniwersytetu, który okupowali przez 7 dni i odbyli prawie czterodniową głodówkę. Ich postępowanie dało im jednak zwycięstwo: rektor już ogłosił, że wypełni ich życzenie wprowadzenia oddzielnych ławek dla Żydów."

„Deutsche Nachrichten" krzyczą o krzywdzie niemieckiej:

„W Inowrocławiu (oczywiście Hohensalza!) 40 Polaków wpadło do sali, gdzie się odbywało zebranie „Jungdeutsche" i z okrzykami: „Niech żyje Polska!" i „Precz z Niemcami!" rozpędzili zebranych. Policja, pomimo telefonicznego zawezwania, nie przybyła."

Azet.

Książki nadesłane

Dr. Tadeusz Bernadzikiewicz. Przerosty etatyzmu. Wydanie II. Warszawa 1936.

„Pierwsze wydanie zostało wyczerpane w ciągu kilku miesięcy...

...Drugie wydanie zostało zaktualizowane przez uwzględnienie danych zawartych w ostatniem sprawozdaniu Kontroli Państwowej z czynności kontroli, dokonanych w okresie budżetowym 1934/35 oraz w Uwagach Kontroli Państwowej o zamknięciach rachunków państwa i wykonaniu budżetu za r. 1933/34, jak również innych materjałów, zebranych w okresie 1935/36...

...Praca została uzupełniona przez zamieszczenie w formie dodatku „małej" bibljografji etatyzmu w zakresie literatury polskiej".

Wacława Szymanowskiego Listy o wypadkach w Polsce 1861/62. Przedmowę napisał Marceli Handelsman. Warszawa 1936.

„Zbyteczne wspominać, że między narodem, a tymi, którzy sprawują nad nim władzę, stanęła przegroda nieprzebyta."

„Podczas gdy społeczeństwo wie doskonale — złożyło na to dowody — skąd wyszło i dokąd zmierza drogą prawa i porządku, rząd widzi się zmuszonym do dawania jedną ręka tego, co chciałby odebrać drugą, albo do udzielania rzeczy, które boi się nazwać ich mianem rzeczywistem."

„Dziś rządy nad narodem oprzeć można na szczerości, uczciwości i prawdzie".

Wacław Szymanowski. Poezye i Drammata. Tom I — V. Warszawa 1884.

W 50-ą rocznicę śmierci wybitnego pisarza córka jego przeznaczyła zbiorowe wydanie poezyj i utworów scenicznych ojca na bezpłatne rozdanie czytelniom i bibljotekom.

A. Z.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O. Nr. 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1.50; zagranicą zł. 2.— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; ½ str. — zł. 125.—; ¼ str. — zł. 75.—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. **WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA", SP. Z OGR. ODP.**

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA", Nowy-Świat 54. Tel.: 615-56 i 242-40.